

# WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

A. KIJOWSKI — Powrześnie zaduszki, H. WILLMANN — Ojczyznę kochać,  
A. N. NIEMIEJANOW, H. DEMCZENKO, A. H. KULIOKOW, T. KOSYNIĘWA — Ludzie radziecy bronią  
pokoju,  
K. LEŚNIEWSKA, A. WITKOWSKA, H. PIECZYŃSKI, H. MINIAS, J. MARSZAŁEK — Stara i nowa szkoła,  
S. ORZEŁ — Chłop czy robotnik, B. CHĘCINSKI — W sprawie kadr.

Rok VII

Warszawa, dn. 3. IX. 1950 r.

Nr 35 (266)

KAZIMIERZ PIWARSKI

## Na nowym etapie walki o Pokój

T rzymiesięczna akcja zbierania podpisów pod Apellem Sztokholmskim Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju dała imponujące wyniki. Za apelem, domagającym się bezwzględnie zakazu broni atomowej i uznania za zbrodniarza wojennego tego rządu, który pierwszy zastosuje broń atomową, opowiedziało się 276 milionów ludzi z różnych krajów, ludzi o różnych przekonaniach, różnego pochodzenia i różnych wyznań. Akcja zbierania podpisów, która bynajmniej nie jest jeszcze zakończona i prowadzona jest w 75 krajach, przyniesie jeszcze niewątpliwie dalsze miliony podpisów. Analizując na razie podaną wyżej cyfrę, trzeba zaznaczyć, że za apelem opowiadały się przede wszystkim osoby dorosłe. Można tedy z całą słuszością przyjąć, iż podpisy złożone już w imieniu 600 milionów ludzi, a więc około 1/4 ludności globu ziemskiego.

jej użycia przez imperialistów amerykańskich: oświadczenie Achesona miało wyraźny związek ze sprawą koreańską. Właśnie interwencja imperialistów amerykańskich, stanowiąca jaskrawy przykład agresji i to — o czym świadczą niezbita dowody — agresji z dawną uplanowaną, była najlepszym dowodem, że niebezpieczeństwo rozpętania wojny przez imperialistów amerykańskich jest zupełnie realne, że ostrzeżenia co do zbrodniczych zamierzeń podlegających wojennych są aż nadto słuszne.

Wydarzenia na Dalekim Wschodzie rzuciły jaskrawy snop światła na poczynania imperialistów z USA, obnażyły w pełni ich prawdziwe oblicze. Wiadomo, że wojna w Korei jest wojną domową, jest konfliktem wewnętrznym w obrębie jednego państwa, jednego narodu. Rzecz jasna, że nie może tutaj być mowy o agresji. Sprawa uregulowania swoich spraw wewnętrznych należy jedynie i wyłącznie do samych Koreańczyków. Natomiast interwencja obcego państwa w wojnę domową w innym kraju stanowiła i stanowi zawsze w świetle prawa międzynarodowego i opinii światowej akt agresji, akt przemocy jednego państwa w stosunku do drugiego. Jawnymi tedy agresorami są imperialiści z USA, którzy wysłali swe siły lądowe, morskie i powietrzne do Korei, którzy próbują wesprzeć zbankrutowany reżim swego służalca Li-Syn-Mana i nie dopuścić do ostatecznego zwycięstwa sił ludowych koreańskich, do pełnego zjednoczenia kraju pod sztandarem Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Tok wydarzeń bowiem rozwijał plany monopolistów z Wall Street, pragnących uczynić z Korei teren nieskrępowanej, rabunkowej eksploatacji monopolu amerykańskich — przekreśla plany podlegających wojennych z USA, którzy zamierzali opanować całą Koreę i przekształcić ten kraj na bazę agresji przeciwko ZSRR i Chińskiej Republice Ludowej.

Agresja amerykańska w Korei to próba zahamowania ruchu wyzwolenia narodów azjatyckich. Równocześnie zaś agresja ta jest częścią składową przygotowań wojennych USA do nowej wojny światowej. Wydając siłom zbrojnym amerykańskim rozkaz poparcia klikki Li-Syn-Mana prezydent Truman wysłał zarazem flotę amerykańską na Formozę, nakazał wzmocnienie sił zbrojnych USA na Filipinach, zarządził udzielenie pomocy kolonialnej ekspedycji francuskiej w Indochinach. Wiadomo przecież, iż Formoza stanowi część składową Chin i o jej losie może z całą słuszością decydować jedynie rząd Chińskiej Republiki Ludowej — a więc interwencja Stanów Zjednoczonych w sprawę Formozy stanowi akt sprzeczny z prawem międzynarodowym agresji na terytorium Chin. Wzmocnienie sił zbrojnych amerykańskich na Filipinach jest pogwałceniem niezależności i suwerenności tamtejszej republiki. Wspieranie wreszcie ekspedycji francuskiej w Indochinach stanowi akt agresji przeciwko Republice Ludowej Wietnamu, która posiada w swych rękach 9/10 terytorium kraju, podczas kiedy zaborcy francuscy z trudem utrzymują się jedynie na skrawkach nadbrzeżnych. Nie ulega kwestii, że imperialiści z USA dążą do możliwie największego rozszerzenia działań wojennych na Dalekim Wschodzie i do wciągnięcia w nie innych państw.

W tych warunkach sprawa narodu koreańskiego, walczącego o wolność i zjednoczenie przeciwko agresorom z USA, stała się wspólną sprawą milionów ludzi na świecie, łączących się w wielkim frontie pokoju, potępiających zbrodnicze plany i akcje podlegających wojennych. Całkiem więc zrozumiałą jest rzeczą, że równoległe z wypadkami w Korei wzmogła się w całym świecie akcja obrońców pokoju. W wielu krajach zorganizowano „tygodnie Korei”, które stały się imponującymi manifestacjami za pokojem. Hasło: „Ręce precz od Korei!” — stało się hasłem chwili aktualnej Światowego Obozu Pokoju.

Agresja amerykańska wywołała tym większe wzburzenie opinii światowej, iż łączyła się z równie cynicznym jak brutalnym pogwałceniem przepisów prawa międzynarodowego, z profanacją forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Przy pomocy swych satelitów Stany Zjednoczone przeprowadziły bezprawnie w kadłubowej Radzie Bezpieczeństwa — bez udziału przedstawiciela ZSRR i Chińskiej Republiki Ludowej! — rezolucję głoszącą, iż wojska amerykańskie w Korei są „wojskami Narodów Zjednoczonych”, wzywając rządy różnych krajów do oddania sił zbrojnych do dyspozycji „zjednoczonego dowództwa pod kierownictwem Stanów Zjednoczonych”: agresorom pozwolono w sposób bezwzględny na posługiwanie się błękitną flagą ONZ i opaskami z emblematami Organizacji Narodów Zjednoczonych!

Na tej drodze zamierzali imperialiści amerykańscy wciągnąć do interwencji w Korei jak największą ilość państw i wywołać pozory tworzenia wielkiego frontu imperialistycznego przeciwko ruchowi wyzwolenia w Korei, przeciwko narodowi koreańskiemu. Tymczasem nawet zmarszalizowane rządy wołały w praktyce raczej wybrać taktykę trzymania się na uboczu, wstrzymać się od czynnego udziału w sprawie Korei.

Nie udało się stworzyć wspólnego frontu przeciwko narodowi koreańskiemu, powstał natomiast wspólny front opinii demokratycznej przeciwko interwencji amerykańskiej w Korei, zrodził się ruch solidarności z narodem koreańskim. Posypały się protesty, mnożyła się demonstracje ludowe pod hasłem potępienia agresji i obrony



Maurycy Ostalski kolejarz odznaczony Sztandarem Pracy II klasy kładzie swój podpis pod Apellem Sztokholmskim.

światowego pokoju przed podpalcami wojennymi. We Francji czy w Niemczech Zachodnich, w Indiach czy w Palestynie, żadne represje władz nie mogą wstrzymać fali protestów i manifestacji przeciwko agresorom. W Australii marynarze odmówili ładowania sprzętu wojennego przeznaczonego do Korei. Na apel Światowej Federacji Związków Zawodowych zorganizowano w wielu krajach tygodnie czynnej solidarności z narodem koreańskim. Odpowiedzią na prowokację i agresję imperialistów amerykańskich były — nowe miliony głosów, złożone pod Apellem Sztokholmskim.

Do pełnego zdemaskowania imperialistów z USA przyczyniły się w walnie nowe dowody szczerze pokojowej polityki, jakie złożył ZSRR. W odpowiedzi na pismo premiera Indii Pandit Nehru, zawierające propozycje pokojowego uregulowania kwestii koreańskiej przez Radę Bezpieczeństwa, odpowiedział natychmiast przewodniczący Rady Ministrów ZSRR Józef Stalin. Witając tę propozycję pokojową wyraził zdanie, że celowe jest uregulowanie wspomnianej kwestii przez Radę Bezpieczeństwa z udziałem przedstawicieli pięciu wielkich mocarstw, wśród nich przedstawiciela rządu ludowego Chin, przy czym należy wysłuchać w Radzie Bezpieczeństwa przedstawiciela narodu koreańskiego. W ten sposób Józef Stalin wskazał jedynie słuszną i sprawiedliwą drogę załatwienia kwestii koreańskiej na forum Rady Bezpieczeństwa, drogę zgodną z literą i duchem Karty Narodów Zjednoczonych. Wiadomo, że Waszyngton odrzucił propozycje Pandit Nehru, co dowodzi w sposób jasny, iż imperialistom amerykańskim nie zależy na pokojowym uregulowaniu kwestii.

Dalszym tego dowodem był przebieg sierpniowych obrad Rady Bezpieczeństwa, na których delegat radziecki Jakub Malik wniósł rezolucję rządu ZSRR w kwestii koreańskiej, proponując zaproszenie przedstawiciela Chińskiej Republiki Ludowej (w miejsce delegata marionetkowego rządu kuomintangowskiego) do Rady Bezpieczeństwa jak też wysłuchanie przedstawicieli narodu koreańskiego oraz wycofanie obcych wojsk z Korei. Rzecz jasna, że tylko w ten sposób może być mowa o słusznym i sprawiedliwym uregulowaniu kwestii koreańskiej. Ale przyjęcie propozycji radzieckich uniemożliwił „cały mur przeszkód wzniesiony przez Stany Zjednoczone i kraje podlegające ich wpływowi” (wedle oświadczenia J. Malika). Taktyka przedstawiciela USA Austina i delegatów innych krajów — służalców amerykańskich dowiodła ponad wszelką wątpliwość, że kołom rządzącym w USA nie zależy bynajmniej na pokojowym uregulowaniu kwestii koreańskiej, że dążą natomiast do zaostrzenia i rozszerzenia konfliktu.

(dokończenie na str. 2.)

Seweryn Skulski

## Oskarża prosty człowiek

Ja, prosty człowiek, pracujący codziennie na swoje utrzymanie, w imieniu milionów takich jak ja ludzi pracy na roli, jeszcze na indywidualnych gospodarstwach, w spółdzielniach produkcyjnych, w Państwowych Gospodarstwach Rolnych, w imieniu brata robotnika przy warsztacie, brata robotnika — hutnika, tkacza i górnika, oskarżam cię, imperializmie amerykański. Oskarżam was agresorzy o zbrodnie, jaką popełniacie na narodzie koreańskim. Oskarżam was fałszerze i gangsterzy o mordowanie bezbronnej ludności, o napad, którym rozpaliliście płomienie wojny na kontynencie azjatyckim.

Oskarżam was o przygotowywanie do wojny światowej. W imieniu wszystkich ludzi miłujących pracę, ludzi którzy nie chcą zgliszczać trupów, sierot, kalek, głodu i bezdomności. Oskarżam was o usiłowanie podminowania pokoju światowego, pokoju uczących się dzieci, odpoczywających po pracowitym życiu starców, pokoju ciężarnych kobiet. Oskarżam was Fordy, Mellony, Morgany, Rockefellerzy, Bakery zrzeszeni w National Association of Manufacturers, was właściciel rządu 48-miu stanów amerykańskich, którzy dla bilionowych zysków, dla panowania nad światem dążycie do wojny i kosztem milionowych mas ludu pracującego i kosztem milionów bezrobotnych, militarzyzujecie wszystko i wszędzie. Kosztem podwyższania cen produktów codziennej potrzeby, przysparzaniem ludności coraz większymi podatkami i zadłużeniem kraju w bankach jednego tysiąca milionerów rodzin — robicie bomby atomowe, którymi grozicie zniszczeniem muzeów, szkół, domów kultury i szpitali.

Znam wasz opętany szal nienawiści do krajów i narodów demokracji ludowych, a przede wszystkim Związku Radzieckiego. Widzę wasz popłoch przed budzeniem się własnego narodu i ludów kolonialnych, wasz obłąkany strach przed wielkimi zwycięstwami budownictwa socjalistycznego. Oskarżam was, że z nienawiści do sprawiedliwego życia grozicie światu bombą atomową.

My, prości ludzie pracy, kochamy pokój, chcemy pokoju, waleczymy o pokój i dalej o pokój walczyć będziemy. Dla nas pokój to zgodna i harmonijna współpraca pomiędzy narodami. Dla nas w powiecie lipnowskim pokój to w planie sześciolatki 30 nowych szkół podstawowych, to ponad dwadzieścia nowych nauczycieli, to kilkadziesiąt kilometrów bitych dróg, to zbudowanie obszernego szpitala powiatowego, to 15 nowych ośrodków zdrowia. Dla nas pokój w powiecie lipnowskim to dwa gimnazja wsielące i liczące tysiące młodzieży chłopskiej w szkołach zawodowych i ogólnokształcących. Dla nas pokój w powiecie lipnowskim to zelektryfikowanie ponad 300 wsi, powiększenie hodowli bydła i trzody chlewnej, powiększenie plodów ziemnych o 48 procent. Pokój to znaczy więcej mydła, obuwia, domów, maszyn, książek. Dla nas pokój to współzawodnictwo pracy, racjonalizacja, walka z analfabetyzmem, z zacośaniem wsi, zabobonami i grzechami nieuczynnymi we własne siły człowieka, a tworzenie szczęścia wysiłkiem własnych rąk.

My, w krajach demokracji ludowych i Związku Radzieckim, po zwaleniu krzywd wiekowych, wysiłku i wstecznicstwa wszyscy widzimy w pokoju narastanie coraz lepszego życia. Najdroższym nam jest człowiek, nie zysk, nie kapital, nie pieniądz.

My wobec narodów świata nie mamy zaległych długów. Wraz ze zwalaniem wojny w długi i trwały pokój znikną wszystkie stare antagonizmy, pozostałe z czasów wstecznicstwa i niewoli.

Sprawiedliwy ustrój jest najlepszym budownictwem Pokoju. Przykładem tego zgodne i koleżeńskie życie narodów Związku Radzieckiego. Syn pastucha spod dalekiej Alna Aty, syn rybaka z nad Leny, syn robotnika z Leningradu i syn chłopca kolchoźnika spod Kijowa, siedzą obok siebie w szkole inżynierskiej.

I więc nasza walka o pokój i walczyć będzie. Wiemy, jakie zubożenia przyniosły nam obie ostatnie wojny. Każda z nich cofała nasze życie wstecz. Będziemy walczyć nieugięcie o zwycięstwo światowego frontu pokoju. Precz z wojną! Niech żyje pokój światowy!

Seweryn Skulski

Grigoł Abaszidze

## Kraniec Wall Street'u

Wieje w Gruzji ciepły wicher wiosny  
Po Kolchidzie, po górskich kotchozach,  
Po wesolych pnącach latości,  
Po uprawnych polach, po łożach.

Dzieci biegają poprzez winne stoki,  
A za nimi z południowej strony  
Patrzą lufy armat zimnym okiem  
Jak mordercy w krzakach przyczajone.

Gniewny Yankes stoi przy lawecie,  
Kurz wyciera, przeklina upały.  
Czyżby krańce kraju Wall-Street'u  
Na tureckie pola się rozlały?

Jak drapieńnik wspiąwszy się na łapach  
Tak armata wiatr wiosenny węszy.

Czuje nafty i manganu zapach  
I kwitnących gruzińskich czereśni.

Wszystko, wszystko w bisnesie się przyda:  
Krew i nafta gęsta i ogrody.  
Yankes wstanie i lufę podniesie  
Licząc przysięże w rubrykach dochody.

Niechaj liczy, o bilansach roi.  
Straż graniczna nasza jest ze stali.  
I armaty nikt się dziś nie boi,  
Gdy narody jej milczeć kazaly!

Lecą ptaki pokoju — gołębie,  
Winograpy pną się w urodzaju  
Nad granicą, gdzie tureckiej ziemi  
Dotęgił kraniec Wall-Street'u kraju.

Tłum. A. K.

Na nowym etapie walki o Pokój

(dokończenie ze str. 1)

ANDRZEJ KIJOWSKI

POWRZEŚNOWE ZADUSZKI

Imperialiści z USA, doprowadzając do wsieklkości kłeskim militarnym ekspedycji koreańskiej, mszczą się na bezbronnej ludności Korei. W piśmie ministra spraw zagranicznych Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej Pak-Hen-Ena do Rady Bezpieczeństwa z sierpnia br. czytamy m. i.: „Lotnictwo amerykańskie dokonuje barbarzyńskich nalotów na spokojne miasta koreańskie i ośrodki przemysłowe, w których nigdy nie było i nie ma żadnych obiektów wojskowych, niszczy domy mieszkalne... burzy szpitale i instytucje kulturalne, morduje spokojnych mieszkańców — starców, kobiety i dzieci — niszczy ich mienie”. Światowa Federacja Związków Zawodowych w telegramie do przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa, delegata radzieckiego Jakuba Malika, potępia bombardowanie ludności cywilnej, systematyczne niszczenie miast i wsi koreańskich, taktykę „spalanej ziemi” — akty terrorku, uprawiane w sposób zbrodniczy przez siły zbrojne amerykańskie, następnie nieludzkie traktowanie jeńców wojennych i wziętych politycznych, wreszcie operowanie stałą groźbą użycia bomby atomowej, co wywołuje oburzenie całej ludzkości — i w konkluzji domaga się napiętnowania tych faktów przez Radę Bezpieczeństwa.

Tak popełnione już zbrodnie gangsterów amerykańskich jak też i ich groźby poruszają niewątpliwie jeszcze nowe miliony ludzkości, które dotąd nie pojmowały należycie grozy niebezpieczeństwa wojny, którym dopiero teraz otwarły się oczy: wydarzenia koreańskie wskażą im miejsce, jakie winien zająć dzisiaj każdy człowiek uczciwy i rozsądny — w Światowym Obozie Obróńców Pokoju.

Imperialiści podlegającej wojennemu gromadzeniu w wielu częściach świata prochy, które grożą powszechnym wybuchem. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że wojna jest nieuchronna, że jakiś fatalizm zawisł nad ludzkością. Groźbie wojny może się skutecznie przeciwstawić akcja milionów ludzi na świecie, która wytrąci broni z ręki gangsterów imperialistycznych. Już dotychczasowe wyniki akcji obrony pokoju mogą napawać jak najlepszymi nadziejami na przyszłość. Ale akcja ta musi jeszcze nieustannie wzrastać i pogłębiać się, musi objąć nowe miliony i setki milionów ludzkości, które nie chcą wojny i zniszczeń.

W czasie obrad biura Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obróńców Pokoju, które obradowało w Pradze, powiedział prof. Fryderyk Joliot-Curie m. i.: „Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby obóz wojny rozpetał nowy konflikt wojenny — to zostanie on pokonany. Nie chcemy jednak, aby pokój został osiągnięty drogą zniszczeń i śmierci. Oto dlaczego wzmacniamy i rozszerzamy naszą akcję w obronie pokoju”. Nie o wynik wojny chodzi, gdyż ten oznaczałby nieuchronnie tylko kłeskę imperializmu, przyspieszyłby jego ostateczne bankructwo. Chodzi jednak o to, aby ludzkość oszczędziła strasznych nieszczęść i zniszczeń wojennych, aby ochronić miliony istot ludzkich przed katastrofą wojny. Uzyskać to można jedynie drogą wzmożonej, jeszcze bardziej intensywnej, rozszerzonej i pogłębionej czynnej walki o pokój na całym świecie. W pierwszym rzędzie obóz pokoju walczy o zakaz broni atomowej jako narzędzia masowego niszczenia istnień ludzkich i ich dobytek. Walczą będziemy jednak zarazem o ograniczenie zbrojeń wszelkiego rodzaju i pozołania kresu propagandzie wojennej, piętnując na każdym kroku poczynania podżegaczy wojennych, wytracając im z ręki tak broni materialną jak i zastręki strzały propagandy podżegającej do wojny i szerzącej historię wojenną.

Obecny etap walki o pokój wyznacza uchwała, powzięta w drugiej połowie sierpnia na wspomnianych obradach w Pradze: „Zaostrzając się ostatnio sytuacja międzynarodowa wywołała bezpośrednio zagrożenie pokoju powszechnego, nakładając na wszystkich obrońców pokoju nowe obowiązki, ważniejsze niż kiedykolwiek. Obrónczy pokoju kontynuują swą akcję o zakaz broni atomowej i raz jeszcze wypowiadają się za powszechnym ograniczeniem zbrojeń i kontrolą nad wszelkiego rodzaju zbrojeniami, których wzrost zwiększa niebezpieczeństwo wojny i nakłada na narody ciężkie brzemienie. Obrónczy pokoju występują przeciwko agresji, niezależnie od tego, gdzie ona miała miejsce i potępiają zbrojne mieszanie się zewnątrz do spraw wewnętrznych narodów. Domagają się oni zaprzestania takich interwencji w tych krajach, gdzie się one odbywają”.

Powszechnie ograniczenie zbrojeń, kontrola nad wszelkiego rodzaju zbrojeniami, potępienie wszelkiej agresji, zakaz wszelkiej interwencji w sprawy wewnętrzne innych państw — oto hasła czynnej walki o pokój na dzisiejszym etapie.

Conajmniej od dwóch lat słyszyliśmy o tym że ma się ukazać w druku powieść Wilhelma Macha — znanego dotąd z działalności krytycznej. Powieść ta, pt. „Rdza” ukazała się dopiero w roku 1950, mimo, że notatka autora na ostatniej stronie informuje nas o czasie napisania powieści: 1945 — 47. Miedzy chwilą ukończenia powieści a jej wydaniem upłynęły trzy lata. Trzy lata zasadniczych zmian w naszym życiu i zasadniczych w związku z tym przesuniętych w naszych pojęciach literackich. I dlatego książka, której ostatnia strona nosi datę 1947, a tytułowa 1950 nie jest łatwym dla krytyki problemem. Zwłaszcza, gdy pod uwagę weźmiemy jeszcze jedną parę dat: 1939 — 1941. Ścisłej: listopad 1939 — jako czas akcji pierwszej części „Rdzy” („Dokoła jesieni”) i pamiętana niedziela 22 czerwca 1941 — jako czas akcji części drugiej („Niedziela ucieczek”).

Nie gwoli filologicznej dokładności operujemy datami. Wiele powieści Wilhelma Macha zawdzięcza ich wymowie — i wiele im będzie zawdzięczał krytyk, przystępujący do wyjaśnienia tego zjawiska literackiego, jakie stanowi „Rdza”.

1939 — 1941

Koszmar poniesionej klęski, dezorientacja polityczna wobec nowych sukcesów niemieckich, tragiczne sprawdzenia i konsekwencje sanacyjnego systemu pod rządami okupanta — oto tytuły, jakimi można zapamiętać ten rozdział z dziejów okupacji, zakończony wybuchem wojny Niemiec z ZSRR.

Oto streszczenie pamiętnika jednego z bohaterów „Rdzy”.

„Dalekie fronty wojny odbijały się w dzienniku Andrzeja w sposób szczególny, jak gdyby przez kalkę powszednich, olchowieckich spraw. Schemat się powtarzał: po każdym znaczącym sukcesie Niemców — przerwa w pisaniu; bywało wtedy jak po wrześnie — spanie, żarcie, amory, jałowa i smutna nuda. Potem jakieś próby nadziei, jakieś wysiłki zrozumienia i ogarnięcia, jakieś mizerne sublimacje własnego nierobstwa, nawet cytaty z prorocztw i przepowiedni — aż do nowej klęski. Kapitulacja Francji: data i pusta strona; potem po kole: spacer z Ireną, wysiedlenie Sołnic, buntownicza rozmowa z Panem Bogiem, przerwa i opis któregoś z niedzielnych bałków...”

Byli ludzie, którzy z chwilą oddania ostatniego strzału rozumieli, że wojna się nie zakończyła. Ci nie spojczyli do końca, a nie było przypadkiem, że tych właśnie ludzi nie obciążała odpowiedzialność za klęskę: „To ci najbardziej, z lasów, z piasków — oni, powładam ci najlepsi. I oni najprędzej zaczną ci trzeba. Może już zaczynają...” Tak mówi inny z bohaterów „Rdzy”. Prostý chłopak — Adamiec. Bo Andrzej jest byłym podchorążym i to jednym z tych, którzy torowali sobie rewolwerem drogę do ucieczki.

I na tym właśnie polegała „atmosfera” okupacji: bierność i impas, żądza walki i nadzieja współzłybok siebie, zanim nie stule się w pełni jasne, że chodzi o celę walki, nie o walkę samą. A w jednym i drugim wypadku podział ten nie był sprawą temperamentów — to była przede wszystkim walka klas. Powróćmy jeszcze do tego.

Powieść Macha mówi o zagęszczeniu „atmosfera” — i o formowaniu się tego, co zwykliśmy nazywać historyczną problematyką okupacji: problematyką dojrzewania rewolucyjnej siły w walce z reakcją, na wiele lichych możliwości.

Tyle nam mówią też te dwie daty umieszczone w tytule niniejszego rozdziału: listopad 1939 — czerwiec 1941. Powrześnie zaduski i czerwona niedziela najazdu hitlerowskiego na ZSRR.

1945 — 1947

Tym razem będziemy mówili tylko o literaturze. Bo drogi literatury i drogi społecznego rozwoju rzecząly się w tych latach, by zejść się nibawem na nowym już gruncie wspólnych dążeń. Musiał się znaleźć czas na wypowiedzenie okupacyjnych doświadczeń, chociażby pochodzący z najbardziej wąskiego kręgu osobistych doznań pisarzy. Natura tych doświadczeń, dostarczanych przez fascystowski terror i wyzwolenca wojenną zdecydowała także w dużej mierze o składzie osobowym tego szeregu pisarzy, który dziś zajmuje pierwsze miejsce w walce o nową literaturę. Książki wówczas napisane w obrzynie większości stanowią początek tego rachunku z przeszłości, którego ostatnie fazy obserwujemy dzisiaj, ale przytężył dawiaadzeń nikt nie wypowiadał bez intencji postulowania.

Do tych książek należy powieść Wilhelma Macha, nosząca wszystkie cechy literatury lat 1945 — 47. Powstała również na przecieciu tych dwóch tendencji: parachunków i postulatów i na przecieciu dwóch metod z tymi tendencjami wówczas nierozdzielnie związanych: jednostkowego tragizmu i realizmu społecznie obiektywnych faktów. I to się na niej zemściło w r. 1950.

Nie próbujmy wskazywać bohatera „Rdzy”. Jest nim w równej mierze refleksyjny i liryczny Andrzej, co ambitny Józek obdarzony społecznym urazem. W tym samym stopniu kanaliowaty Kajetan, co niezbyt roz-

garnięta Joasia. Tak babka Rotterowa, jak Irena czy Jasiek Adamiec. Bo metoda Wilhelma Macha, odziedziczona w prostej linii z psychologizycznego warsztatu Prousta czy Gide'a zakłada równorzędność i równowagę wszystkich przeżyć każdej z osób występujących. Z równą uwagą traktuje symboliczną wymowę knedli ze śliwkami zymiotowanych przez Andrzeja, co miłość Józka do Ireny. Równą wagę posiada wysadzenie mostu przez Jaska, co kampania babki Rotterowej z muchami.

I to pierwsza niekonsekwencja uwarunkowana mieszanką metod: służy powieść Macha za akt społecznego oskarżenia, naświetla fakt obiektywnie sprawdzalny. — Ale rałowiedla pod tyłoma kątami, ile osób występuje w powieści, oskarża w tyłu wersją, ile każda z postaci posiada kompleksów i urazów.

Narracja rozszczepla się na strugi najbardziej osobistych przeżyć kolejno wyprowadzanych przed obiektyw narratora postaci: Andrzeja, Józka, Kajetana — i znów Andrzeja czy Joasi. W założeniu swoim posuwa się Mach do ostatecznych konsekwencji — aż do równoczesnego notowania zupełnie automatycznych skoczeń, refleksów i myślowych niespodzianek. Można bez końca przytaczać chwytliwy formalizm, jakich używa Mach w celu zadokumentowania swej absolutnej lojalności wobec przeżywających swe sprawy bohaterów. Przyznajmy nawiasowo dużą inwencję autorowi w tym kierunku, ale naprawdę, godną lepszej sprawy, — często robi to bowiem wrażenie zabawnej nie zweryfikowanych intelektualną koncepcją (np. słowo zaczęte w jednym rozdziale, dokończone w którymś z następnych w odmiennej sytuacji, podobnie rozcięte na pół gesty, sceny całe itd.).

Ale na tym nie kończą się formalne skutki „nieobecności” narratora. Prawie wszystkie — z wyjątkiem końcowych — sceny, dialogi, zdarzenia podane są w formie wspomniania ich, rozpamiętywania przez poszczególne osoby. Tak np. o rozmowie z Fortmannem w Zawodowie, o przygodach w czasie powrotu do domu, o spotkaniu z Rochem Dejblem i o jego burzliwej przeszłości, dowiadujemy się z rozmowy z bohaterem, a nie z drugiego dnia Kajetana. Wypadków takich jest wiele i można sobie wyobrazić, jak to szalenie komplikuje strukturę czasową powieści, jak wodzi za nos czytelnika poprzez najrozmaitsze zagadki, niespodzianki.

A wszystko w tym celu ażeby jakakolwiek interwencja obiektywnego narratora nie z „wewnętrzne bogactwa myślowego człowieka” nie uрониła, nie z jego „tajemniczego wnętrza” nie uszkodziła, by treść swych wewnętrznych tajemnic i dramatów wypowiedział ów człowiek, przed którym „niemaszyna pełnią życia duchowego” jesteśmy obowiązani kornie pochylać głowę. Nawet, gdy myśli o knedlach ze śliwkami.

Nie chodzi o knedle, nie chodzi o szacunek — ale chodzi o realizm. Bo przecież Mach nie rozważa każdej z tych tajemnic w abstrakcji. Przecież nie wierzy we frazesy Andrzeja o samotności („sublimacja nierobstwa” — no, przyjmijmy...), Przecież łączy te osobiste dramaty w jedną całość, mającą świadczyć o prawdziwie społecznych stosunkach. Haniebna rana Andrzeja, którą otrzymał przy ucieczce przez most, jest dla autora w równym stopniu przyczyną jego obozowania, co punktem oskarżenia patriotyzmu i moralności jego kłasy. Uraz społeczny Józka jest w równej mierze spawą jego osobistych ambicji, co skutkiem wychowania w kręgu „pańskości”, której fałszywy błęchtr dzień za dnem demaskował się przed jego oczyma. To są fakty, a nie wewnętrzne tajemnice i pisarz to dobrze rozumie, ale nie rozumie, że „ciemne wnętrza” człowieka nie-dobrym jest reflektorem dla realistycznej tendencji oświetlania wszech socjologicznej konstrukcji losu człowieka.

I oto druga niekonsekwencja metody: powieść Macha jest przede wszystkim obrazem wyzwalania się człowieka z obozowania i bezwładności jego aury psychicznej, wyzwalania się z pet własnej wrażliwości. Dramat Andrzeja, Ireny, Józka, Joasi polega na szukaniu właściwego miejsca wśród ludzi; jest to dramat jednostek, którym okoliczności zwinęły kręgosłup moralny. Ale z drugiej strony okoliczności te nie są niczym innym jak klasowo określonymi warunkami wychowania, jak historycznie prawdziwymi wypadkami. Bo chociaż dzieła różnic klasowe Andrzeja i Józka, Joasię i Irenę — tak ułożyły się warunki, że wszyscy oni wychowali się w kręgu fałszowanej „pańskości” lub też w ambłej jej osiągnięciu. I wszyscy przeżywają te samą drogę: od „atmosfera” do problemów, od pozornych udręk wewnętrznych do rzeczywistych dramatów historycznego losu człowieka.

Jak jednak Mach rozłożył rolę, przydzielił zwycięstwa i klęski bohaterom swego rzeczywistego dramatu? Nie uratuje się już Andrzej, bo ginie w momencie swej desperackiej ucieczki z domu podczas akcji sabotażowej, kierowanej przez świadka jego wrześnieowej hańby — Adameca. Uratuje się Józek, kiedy — po dokonaniu bodaj równie desperackiego aktu sabotażu — ranny, znajdzie schronienie w oddziale Jaska Adamca. Uratuje się Joasia, kiedy ucieczką od fałszów i upokorzeń olchowieckiej pańskości znajdzie się przy

foku — znówu Adamca — jako jego żona i towarzysząca walki. Jaś Adamiec jest posłem zbawienia — bo jest chłopem, bo nie ma kompleksów, bo nie boryka się z „atmosfera”, a walczą o socjalizm. Na czym jednak polega socjalizm w świecie bohaterów Wilhelma Macha? — Na tym że ludzie nie mają kompleksów i śpiewają piosenki.

Nie kpijmy. Tu nie chodzi o piosenkę. Chodzi o to, że akt społecznego oskarżenia, sformułowany przez Macha, celny był wtedy tylko, gdy odnosił się do „atmosfera”, do specjalnego typu inteligentkiej wrażliwości, — a to grubo za mało. Walka klas, to nie walka temperamentów — to starcie wyzyskiwanych z wyzyskiwaczami. Czy Mach pokazał wieś kapitalistyczną z jej klasycznymi antagonizmami: wieś — dwór, biedny — bogaty chłop? Nie. Pokazał małą kolonię, gdzie po prawdzie niewiadomo kto kogo kiwa: Kajetan Osceki Szymona Bočka — swego dawnego ordynansa, czy Szymon Ecceik Kajetana — swego dawnego majora. Może tak być. Dlaczego nie? Ale niechże ta sytuacja nie pretenduje do typowości i niechże nie upoważnia Macha do wkładania w usta Bočka wielkich słów: „O tacy oni. Od dawien dawna. Tak naród od wierzchu przysiedli. Szczęściem, naród od żelaza wytrzymałszy. Aaa, mocny Boże, zeskrobać toto byby już czas.” Bo przy takim układzie stosunków to nie sformułowanie walki klas, a niechęć do „rdzy”. I rewolucji na to nie potrzeba, skrobanka wystarczy, zwłaszcza gdyby chodzilo tylko o to, że „atmosfera” jest nie do wytrzymania. Tymczasem jednak autorowi chodzi nie tylko o „atmosfera”.

Mach tak charakteryzuje sytuację swego bohatera: „Próbował oto zrozumieć i ogarnąć przeobrażenia w świecie, starając się zrozumieć wpięrw i ogarnąć sprawy najbliższe i ludzi najbliższych. Lecz wpadł w zasadzkę. Te dwa kręgi niby w jakiejś złośliwej znowie poczęły nawzajem prawdę o sobie wykrzywiać i zaciemniać”.

Czy ten wyjątek z rozmowy Andrzeja — to autorskie przyznanie się do błędu? Czy zamiar był taki: pokazać piekielko ludzkie, rozrachować się z „atmosfera” i pokazać w końcu, że to jeszcze bardzo niewiele dla poznania świata? Zastanowimy się nad tym jeszcze.

Sprawa „atmosfera”, to sprawa niewielkiego dystansu. Z większej odległości dopiero widać s'ę fakty i problemy. I tu jest sens dat umieszczonych w tytule tego rozdziału 1945 — 47.

Jakże krótki był dystans pisarza w stosunku do przeżyć! I to w podwójnym sensie: w sensie chronologicznym — i, co dużo ważniejsze, w sensie ideologicznym.

1950.

Inaczej potoczyły się losy naszej literatury w ciągu tych trzech lat, od 1947. Odmienne od zapowiedzi, jakie miedzieli w sobie wówczas wydawane i nagradzane książki. Książki: Andrzejałowickiego, Adolfa Rudnickiego, Filipowicza. Odmienne od tego, jak by można wnioskować po tej „próbce realizmu”, jaką dał Wilhelm Mach. Ale właśnie dlatego, podkreślając błędy pisarza, wykazując całą nieporadność i beznalność jego metody wobec podjętych problemów, nie wolno tracić z oczu dat powstania książki i gilotynować go bez litości z punktu widzenia surowych praw literackiego przełomu, ku któremu się coraz wyraźniej zbliżamy.

Powieść Macha wyrosła w aurze intelektualnej, psychicznej, cechującej te grube pisarzy współczesnych, która debiutowała przed wojną, a po wojnie, opowiadawszy się po stronie obozu społecznego postępu, rozpoczęła rewizję swego bogactwa ideologicznego. Aurę tę Kazimierz Wyka nazwał w 1945 roku „tragicznością”. „Tragiczność to pewna aura psychiczna, szukanie konfliktów i rozwiązań o pozorach równie nieuniknionych o w tragizmie”. Przelatywanie tragiczności pozorów na tragizm rzeczywistych dramatów, historycznych dramatów, to droga większości tych pisarzy, to również i droga Wilhelma Macha.

Ale widzieliśmy, jak się to przełamanie dokonało. Autor wytoczył proces atmosfery tragiczności, jako znakowatę szychluk klas posiadających, proces ten przeprowadził jednak tą samą metodą, przy pomocy której zatruwało się pokolenie w aurze „tragiczności” wyrosło. Metodą perwersyjnej autoanalizy, nieustannej samokontroli, obsesji demaskowania własnych zafalszowań. Widać w tym urzeczanie literatury, już nie lat 1945 — 47, ale 1930 — 39; znów Adolfa Rudnickiego, i jeszcze Gombrowicz, Otwiniowski. Widać przedłużenie prostej linii tej właśnie tradycji literackiej, zamiast konsekwentnego rachunku w imię zrywania z „atmosfera”.

A z drugiej strony? Zamiast powiedzieć konsekwentnie o co chodzi, o co się walczy, kto przeskadza i dlaczego rzucił nam autor na ekran mgliste mity o zdrowym ludzie i zginiętych panach. Adamiec walczy za wolność i śpiewa piosenki. Ale niechby tak Mach wprowadził jednego zdrowego jak byk faszyzmu z najbardziej wyrafinowanej rodziny inteligentkiej — nie wiadomo kto by głosił śpiewał. A zobowiązuje się dnatrzecy Machowi dziesięciu dekadentów chłopskiego pochodzenia. Żywcem!

I co to znaczy „zdrowy lud”? I zginił panowie? To przecież stare jak Orzeszkowa mity pozytywistyczne, podgrzane katastroficzną liryką błędzących inteligentów przepuszczzone przez maszynkę wyrafnowanej psychologii odziedziczonej z Prousta. Została jeszcze liryczna konstrukcja bohatera, nieujarzmiona rozlewność stylu, trochę patriotycznych dreszczów, ostateczny tragizm śmierci wyzwolonego z tragiczności pszczołów Andrzeja i również patetyczna co nieokreślona wizja „lepszego jutra”.

Niebezpieczne są kompromisy w literaturze, niebezpieczny był autorski kompromis między ambicją zrozumienia „przeobrażeń w świecie” a pasją dla prywatnych zajęcików „ludzi naj-

bliższych”. „Te dwa kręgi niby w jakiejś złośliwej znowie poczęły nawzajem prawdę o sobie wykrzywiać i zaciemniać”. Kompromisy przedź czy później kończą się na epigonizmie.

Dobra literatura nie jest kwestią dobrych tradycji. Zwłaszcza gdy chodzi o realizm. Bo gdy chodzi o realizm, trzeba przede wszystkim otwartymi oczyma patrzeć na nowe sprawy człowieka i dopowiadać rzeczy do końca. Do samego końca. Wtedy unika się pomyłek.

I to jest właśnie sens daty umieszczonej w tytule ostatniego rozdziału tych rozważań o wczorajszej książce: 1950!

Andrzej Kijowski



W porcie hamburskim, gdzie robotnicy odmówili wyładunku broni amerykańskiej, widnieje napis: „Nie chcemy broni, pragniemy pokoju”.

Heinz Willmann

Ojczyznę kochać

„Od Hamburga do Rzymu — A mi go home!”

krzyczą wielkie litery na murach i ścianach domów Zachodnich Niemiec: „Korea dla Koreanczyków — Niemcy dla Niemców!” — brzmi napis który widziałem w Westfalii. W kopalinach Ruhry wypisują górniczy krąg dzwaniąc do podpisu Apelu Sztokholmskiego. Na wysokich kominach łopocą chorągwie z gołębiami Picasso.

Przyjaciele pokoju w Zachodnich Niemczech pojęli, że walka o pokój musi być prowadzona w sposób zorganizowany. Już we wszystkich wielkich miastach pracują Komitety Pokoju, które mają swoje punkty oparcia w zakładach i przedsiębiorstwach.

Ale nie tylko robotnicy, lecz także ludzie wielu innych zawodów stają do walki przeciwko strategom atomowym. Inwalidzi z ostatniej wojny, wszyscy, którzy ponieśli w tym czasie straty duchowe i materialne, biorą w niej szczególnie czynny udział. Niemiecy pracownicy kultury włączają się do walki o pokój z wielką aktywnością. Na czele niemieckiego Komitetu Walki o Pokój stoją pisarze: Anna Seghers, Arnold Zweig, Johannes R. Becher, — Komitet Walki o Pokój w Niemczech Zachodnich reprezentowany jest przez pisarza Adolfa von Hatzfelda, przewodniczącym zaś berlińskiego Komitetu Walki o Pokój jest znany fizyk prof. dr Robert Havemann.

W Niemieckiej Republice Demokratycznej niewiele jest miejscowości, gdzieby nie istniały Komitety Walki o Pokój.

Centralnym punktem pracy Komitetów jest pomoc dla zachodni-niemieckich obrońców pokoju. Ludność wyznana jest do rozsyłania ulotek i publikacji Niemieckiego Komitetu krewnym i znajomym w Zachodnich Niemczech, aby tą drogą pozyskiwać dalsze podpisy. Podczas miesięcy letnich przyjeżdża tysiące osób z Zachodnich Niemiec i Zachodniego Berlina w odwiedziny do krewnych i znajomych w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Burmistrz gminy Laubusch w okręgu — Hoyerwerde jest przewodniczącym miejscowego Komitetu do Walki o Pokój. Kiedy przyjeżdżni z Zachodnich Niemiec zatrzymywali się u niego dla załatwienia formalności paszportowych, zapraszał ich do dyskusji z członkami miejscowego Komitetu Pokoju. W takich dyskusjach padały nieraz zwroty i hasła z zachodniej oszczerczej prasy przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej — i wtedy miejscowy Komitet Pokoju organizował wyjazdy do zakładów, fabryk, instytucji: wszędzie tam, gdzie przyjeźdźni mogli się nacozenie przekonac o bezpodstawności oszczerczstw pismaków zachodnich.

W uspołecznionej hucie „Mansfeld” opowiadali mi członkowie tamtejszego Komitetu Pokoju, że z powodu braków odpowiednich pomieszczeń, trudno jest organizować zebrania, celem przeprowadzenia dyskusji z robotnikami. Zostało więc rozpisane współzawodnictwo w dziedzinie wyjaśniania pod hasłem: „Wytykanie — my odpowiadamy”. Pytania wypisywane są na czarnej tablicy, mieszczącej się w lokalu Komitetu, gdzie znajduje się również skrzynka odpowiedzi na pytania. Najlepsze odpowiedzi były premiiowane książkami. Udział w tym bardzo oryginalnym współzawodnictwie jest ponad wszelkie oczekiwanie ożywiony i w dużym stopniu przyczy-

nia się do wzmożenia ruchu pokojowego w zakładach.

Hasła pokojowe rozpowszechniane są również drogą plakatów wydawanych przez Niemiecki Komitet Bojowników Pokoju. Widać je na ścianach domów i fabryk, a przyjaciele pokoju w Brandenburgii, Saksonii Anhalckiej nie zapominają zamalowywać pokojowymi hasłami najczęściej używanych autostrad w Niemczech Zachodnich. Z mostów przecinających nasze szosy wychodzą naprzeciw francuskim, angielskim i niemieckim podróżnikom wzwania w ich języku, aby przeciwstawiali się wojennym przygotowaniom „swoich władców” i przytaczali do walki o pokój. Powszechnie wiadomo jest, że prości żołnierze amerykańscy i angielscy w Zachodnich Niemczech, którzy — podobnie jak korespondent Agencji Reutera w Berlinie John Peet — rozpoznali agresywną politykę wojenną anglo-amerykańskich imperialistów, zdecydowanie przechodzą do obozu pokojowego, aby aktywnie brać udział w walce o pokój.

W wielu szkołach tydzień rozpoczynają się pogadanki, nawiązując do hasła Niemieckiego Komitetu do Walki o Pokój. Zachęcone przez „Przyjaciół Nowej Szkoły” i przez naszych nauczycieli dzieci opisują swoje przeżycia podczas nocnych nalotów wojennych II wojny światowej, opatrując swe sprawozdania odpowiednimi ilustracjami. Najlepsze wypracowania dzieci zachowywane są w specjalnej Książce Pokoju, znajdującej się w szkole. Wiele dzieci pisze listy do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, informując go o swoich strasznych przeżyciach wojennych i wzywając do wstrzymania akcji morderstw matek i dzieci na Korei.

Wypadki na Korei wzbudziły ogromne współczucie we wszystkich częściach N. R. D. Zewsząd słychać o organizowaniu się komitetów pomocy. Niemiecki Komitet Obrony Pokoju zbiera składki i ofiary na rzecz koreańskich bojowników.

Więcej niż 17 milionów podpisów pod Apalem Sztokholmskim w Niemieckiej Republice Demokratycznej, 103 tys. w Berlinie Zach., ponad 2 miliony w Niemczech Zach. i więcej niż 900 tys. w demokratycznym sektorze Berlina daje przekonujący wyraz woli pokoju niemieckiego narodu.

Nie wszędzie zbieranie podpisów związane jest z wyczerpującymi dyskusjami na temat problemów pokoju, ale braki te wyrównywane są tam, gdzie nasze gimnie i okręgowo komitety dobrze pracują. Na tych placówkach sumiennie i rzeczowo roztrząsane są wszystkie punkty zagadnienia Apelu Sztokholmskiego i wyjaśniana jest obywatelska rola jedynymylniej postawy mas potępiających broń atomową. W wielu okolicach składanie podpisów przybrało charakter manifestacyjnej całej ludności, gdzie indziej łączono się z innymi uroczystościami, jak rozpoczęcie wakacji, dożynki itp.

Rozumie się samo przez się, że kampania przeciwko podżegaczom wojennym ściśle związana jest z popularyzowaniem polityki pokoju rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej i wskazywaniem przodującej roli Związku Radzieckiego w obozie pokoju. Pod jego przewodnictwem i przy rosnącym udziale bojowników o pokój na całym świecie będzie wywalczony pokój.

Heinz Willmann

tłumaczyła Z. Rz.

\*) Wilhelm Mach: „Rdza”, 1950. — „Czytelnik”.

# Ludzie radzieccy bronią pokoju

**A. N. Niesmiejanow**  
Członek Akademii Nauk ZSRR  
Poetę do Rady Najwyższej ZSRR

## U nas nauka sprzyja życiu

Gdy czytam o absurdalnych próbach niektórych ludzi z oceanu obwiniania naszego kraju o wojownicze zamiary, przed oczyma staje mi wielka sala Pałacu Smolnego w dniu 8 listopada, 1917 roku.

Dopiero co zakończyła się wielka Październikowa Rewolucja socjalistyczna. Odbywa się posiedzenie II Zjazdu Rad Wśród niesłychanego entuzjazu obecnych na mównicę wstępuje Włodzimierz Iljicz Lenin.

O czym mówił on w swym pierwszym publicznym wystąpieniu po historycznym zwycięstwie ludu?

O pokoju!  
Pokojowi poświęcony był pierwszy dekret podpisany przez Lenina i uchwalony przez zjazd.

Fakt to znamieny. Młoda Republika Radziecka narodziła się w trudnej i zaciętej walce o pokój i pierwszą troską Lenina była sprawa pokoju, wyzwolenia ludzkości od okrucieństw wojny i jej skutków.

„Problem pokoju — powiedział wówczas Lenin — jest problemem pałacym, jest to bolączka chwili obecnej.”

Słowa te, które padły w Pałacu Smolnym w ów historyczny dzień, są nadal aktualne. Tak — sprawa pokoju, to problem pałacy.

Każdy człowiek na kuli ziemskiej, niezależnie w jakim mieszka kraju, jakiej jest narodowości, czym się zajmuje i jakie są jego zapatrywania polityczne, musi odpowiedzieć sobie i swym współobywatelom po czyjej jest stronie. Jakim siłom służy? Siłom pokoju, czy wojny? Trzeciej drogi nie ma.

Naprzeciw siebie stoją dwa obozy. W jednym z nich znajdują się miliony prostych ludzi, gorących pragnących pokoju. W drugim —

garstka łajdaków, którzy za cenę krwi narodów pragną pomnożyć swe bogactwa, utrwalić panowanie monopolu.

Moja ojczyzna znajduje się w obozie pokoju. Nie ma u nas ludzi dążących do wojny. Naród radziecki pragnie pokojowej pracy, a nie zniszczenia i ruin.

Mówi się, że fakty są uparte. Związki my uczeni szczególnie cenimy konkretne, przekonujące fakty.

Spójrzmy więc, gdzie jest kraj szczerze pragnący pokoju, a gdzie rodzi się nowa wojna; kto jest przykładem prawdziwej demokracji i pokojowego rozwoju, a kto wykorzystuje święte słowa „demokracja” i „pokój” dla uprawiania kłamliwej propagandy na eksport.

Rząd radziecki stale proponuje wielkim mocarstwom zawarcie Paktu Pokoju, redukcję zbrojeń i wprowadzenie ścisłej kontroli nad użyciem energii atomowej.

Prezydent Stanów Zjednoczonych grozi światu bombami atomowymi. Panu Trumanowi nie dość jest Nagasaki i Hiroszimy — chce ujrzeć ruiny setek innych miast.

Rząd radziecki daje milionowe sumy do dyspozycji setkom instytucji naukowych i laboratoriów, tysiącom uczonych, pracujących w najbardziej humanitarnej dziedzinie wiedzy — medycynie. W ojczyźnie mojej ludzie nauki pracują — przy wydatnej pomocy rządu — nad zbadaniem i zniszczeniem bakterii chorób zakaźnych.

W pobliżu stolicy Stanów Zjednoczonych znajduje się stacja eksperymentalna, gdzie prowadzone są badania nad bronią bakteriologiczną. Donosi o tym amerykańskie pismo „Washington Post”.

W ZSRR setki milionów rubli przeznaczają się na ochronę zdrowia ludności. Opracowano na wiele lat naprzód plany budowy sanatoriów, domów wypoczynkowych, obozów młodzieżowych itp.

A francuski generał Chassin oblicza, ile potrzeba będzie bomb atomowych dla zabicia milionów ludzi.

Przyjeżdżający do Moskwy działacze społeczni z Ameryki i Francji, Anglii i Włoch, duchowni i lekarze, pisarze i aktorzy, ludzie różnych wyznań i różnych przekonań, swobodnie wypowiadają swe zapatrywania polityczne i nikt ich za to u nas nie przesładuje.

A radzieckiej delegacji działacze kultury władze amerykańskie nie zezwoliły na przywiezienie do New Yorku filmu „Akademik Iwan Pawłow”. Nie wiem, co tak przestraszyło władze amerykańskie w filmie o wielkim, światowej sławy fizjologu. Prawdopodobnie obawiali się materialistycznych podstaw teorii Pawłowa. W Ameryce nie jest w modzie to wszystko, co wzmacnia pokój i zdaje mi się, że pan Acheson nie może zapomnieć wielkiemu uczonemu jego wystąpienie w obronie pokoju.

Pamiętam pełne oburzenia słowa Pawłowa: „Zamiast poświęcić wszystkie środki, wszystkie siły dla rozwoju nauki i wiedzy, knują jakieś tam idiotyczne wojny. Wymyślili nonsens, że za mało jest miejsca dla ludzi na kuli ziemskiej... Wszyscy mogą świetnie żyć i pracować. Nie jestem tylko fizjologiem, lecz i człowiekiem, myślącym o różnych sprawach i nie przestaję mnie to oburzać...”

Dla nas, obywateli radzieckich, jasne jest ogromne znaczenie Apelu Sztokholmskiego. Każdy obywatel radziecki złoży swój podpis pod tym ważnym dokumentem. Żądamy pokoju! A o ile chodzi o groźby podżegaczy wojennych pod adresem Związku Radzieckiego, to odpowiem na nie słowami Pawłowa: „Jestem spokojny o bezpieczeństwo mojej ojczyzny...”

A. N. Niesmiejanow

**A. A. Kuliokow**  
Murarz  
laureat premii Stalinowskiej

## Budujemy domy nie po to, aby je burzono



Młody murarz Aleksander Pieckurow na budowie w Smoleńsku.

Jestem murarzem. Przez dwadzieścia lat wybudowałem wiele domów mieszkalnych, szkół, żłobków. Chodziłem popatrzeć, jak wprowadzają się ludzie do wybudowanych przez mnie mieszkań, słuchałem dzwonka, wzywającego dzieci na pierwszą lekcję w szkole, wybudowanej moimi rękami, przglądałem się zabawom dzieci w „moich” żłobkach.

W 1942 roku musiałem budować nie domy mieszkalne, lecz schrony przeciwlotnicze, nie szkoły i żłobki, lecz umocnienia wojenne.

Wiele przecierpiałem się w oblężonym Leningradzie. Jednym z najcięższych przeżyć w moim życiu była chwila, kiedy stanąłem przed zburzonym domem na ulicy

Pietrozawodskiej. Była to szkoła, którą kiedyś budowałem. Cegły, z których układałem ściany, zamieniły się w gruzy. Domu nie było, pozostały tylko ruiny.

Odbudowaliśmy tę szkołę. Już od dawna, jak i w innych szkołach, uczą się tam dzieci. Lecz ja nie chcę odbudowywać, chcę budować!

**Tekla Kosgniewa**

Instruktor tkacki w fabryce „Trichgornaja Manufaktura” w Moskwie

## Mówi moskiewska tkaczka!

Nigdy nie przemawiałam publicznie. Nie umiem. Nawet wtedy, gdy zostałam odznaczona orderem Czerwonego Sztandaru Pracy nie potrafiłam wydobyc z siebie ani słowa, chociaż koleżanki szturchały mnie mówiąc: „Tekla, musisz coś powiedzieć, podziękować... ja-koś nie wypada inaczej”. A ja nie mogłam.

Na ostatnim zebraniu w naszej fabryce „Trichgornaja Manufaktura” słuchałam, jak moje koleżanki zabierały głos, mówiąc: „Obro-nimy pokój! Nie pozwolimy, aby życie nasze zlamali amerykańscy podżegacze wojenni!” Słuchałam ich słów i w myślach powtarzałam: „Słusznie moje drogie. Dobrze mówicie”. Czuję, że i ja powinienam wreszcie coś powiedzieć. Nie wolno nam milczeć. A więc powiem od serca, co myślę.

Przyszedłam dziś do fabryki, do-glądam warsztatów i myślę: dwa-dzieścia siedem lat pracujesz tu, Tekla i całe twe życie związane jest z „Trichgorką”. Ile metrów materiału wyszło spod moich rąk. Czasem, gdy spaceruję po parku, myślę sobie, jaki wielki ten park, tyle w nim przechadza się dziew-cząt i kobiet i pomyśleć tylko, że w ciągu mego życia każdej z nich utkałam po kilka chyba sukien.

My, tkaczki z „Trichgorki”, wszędzie poznamy nasze materia-ly. Wrociłam niedawno z Jałty, gdzie spędziłam urlop w domu wypocynkowym. Na ulicach i na pla-ży spotykałam wiele kobiet w suk-niach z naszych materiałów. Nie mogłam się wtedy powstrzymać i mówiłam znajomym: „popatrzcie, to materiał z naszej fabryki. Praw-da, jaki ładny i jak do twarzy w nim tym wszystkim kobietom?” Dobry i pożyteczny jest nasz za-wód.

Pewnego dnia spacerowałam po parku z learką, z którą mieszka-łam w jednym pokoju. „Pomyślcie, Tekla Semionowna — powiedzia-ła learkka — że tu w Jałcie pod-pisywano umowy o długotrwałym pokoju na świecie. A dzisiaj wielu z tych, którzy mówili tu o pokoju,

Nie chcą, aby w moim rodzin-nym mieście Leningradzie, tak sa-mo jak w Londynie, Paryżu i Pra-dze, jak w małych osiedlach nor-weskich rybaków i w polskich wsiach z woli i fantazji szaleńców burzono domy! Nie wolno dopu-szczać, aby bomby atomowe spadały na żłobki, laboratoria i szpitale!

Zeszłego lata pracowałem przy budowie domu mieszkalnego. Prze-rwałem pracę, aby pojechać do Moskwy i dołączyć mój głos do głosów innych delegatów na Wszechzwiązkową Konferencję O-bronców Pokoju. W sali kolumno-wej Domu Związków Zawodowych widziałem ludzi różnych zawodów, różnych narodowości i w różnym wieku. Wszyscy mieli na ustach jedno słowo: pokój!

Rosną siły obrońców pokoju. Na całym świecie ludzie składają swe podpisy pod Apellem Sztokholm-skim. I kiedy czytam o milionach ludzi, którzy w ten sposób głoszą przeciwko bombie atomowej, mam ochotę porównać każdego z nich do murarza. Każdy podpis pod A-pellem Sztokholmskim — to cegła wmurowana w gmach pokoju, któ-rego nigdy i nikomu nie wolno bę-dzie zburzyć.

Naród radziecki głoszący za po-kojem swą pracą, i t'ra służy sprawie pokoju. Budujemy fabryki i szpitale, szkoły i domy kultury. Budujemy domy nie po to, aby je burzono!

Nie zapomnieliśmy strasznych przeżyć wojennych i dlatego pra-gniemy pokoju. Chcemy, aby nasz dzień jutrzejszy był jasnym dniem pokoju, a nie ponurą nocą wojny. Nasze gorące pragnienie zachowa-nia pokoju wyrażamy, składając jednomyślnie podpisy pod Apellem Sztokholmskim.

A. A. Kuliokow



Robotnik racjonalizator Mkołaj Seliwanow pokazuje inżynierowi B. Bachtinowowi projekt nowego usprawnienia.

**Maria Demczenko**  
Agronom, instruktor rolniczy

## Głos matki

Przerzucam stronie gazety „Ob-broncy Pokoju” i czytając spra-wozdanie ze zjazdu kobiet francu-skich, matek żołnierzy, którzy zgi-nęli w Viet-Namie, widzę panią Beauregard, której syn nie wrocił z frontu i słyszę jej wzruszony, pełen oburzenia głos:

„Zwracam się do was, matki! Syn mój nie miał jeszcze 20-tu lat! Nie dopuścimy, aby dzieci nasze posyłano na śmierć!”

Słyszę głos pani Pasquelé, która zwraca się do swego syna:

„Wychowałam cię nie po to, abyś się stał mięsem armatnim koloni-zatorów!”

Czytam gazetę i przed oczyma widzę moją własną rodzinę — matkę, braci...

Przypominam sobie dzień 22 czerwca, 1941 roku, kiedy po raz pierwszy odczułam boleśnie, co kryje w sobie straszne słowo „wojna”. Tego dnia wyruszyło na front pięciu moich braci Józef i Mikołaj wrócili jako inwalidzi, a Jakób, Piotr i Aleksy zginęli na polu wal-ki. Oddał swe życie za to, aby plomien wojny nigdy już nie palił ziemi kolchozów, aby w naszych wsiach budowano nie zapory prze-ciwczołgowe i umocnienia wojen-ne, lecz elektrownie i świetlice.

Niedawno minęło zaledwie pięć lat od chwili zakończenia wojny. Tysiące matek oplakuje jeszcze swe dzieci, które zginęły w walce z hitlerowcami na zbranych polach nie wszędzie jeszcze znkły leje po bombach i ślady okopów. W zniszc-zonych zawieruchą wojenną sadach młode drzewa dają dopiero swe pierwsze owoce, a „a oceanu dolatuje nas znowu złowieszcze słowo „wojna”. Znowu ci, dla których nie ma nic świętego, cynicznie oświadczać w piśmie „World Af-fairs”: „Jeśli nie znajdziemy inne-go sposobu, aby w porę powstrzy-mać wzrost ludności, będziemy

zmuszeni rozpocząć wojnę agre-sywną”.

Miliony matek odpowiadają na to: nie pozwolimy!

Latem ubiegłego roku byłam w Moskwie na Wszechzwiązkowej Konferencji Obrońców Pokoju. Nie wiem dokładnie ile osób zebrało się w sali kolumnowej Domu Związków Zawodowych, pamiętam jednak doskonale, jak rodak mój Litowczenko, przewodniczący kol-chozu im. Stalina w okręgu Chersońskim powiedział w swym prze-mówieniu:

„W sali tej znajduje się dwieście milionów obywateli Związku Radzieckiego — gorących zwolenników pokoju”.

Tak, to prawda. Jest nas dwieście milionów. Cały naród radziecki podnosi swój głos w obronie pokoju, w obronie ludzkości, w obro-nie szczęścia matek i dzieci.

Dla mnie słowo pokój nie jest tylko gwarancją dalszego rozkwit-u naszej ojczyzny i wszystkich krajów demokracji ludowej. Dla mnie w słowie tym kryje się radość, jaką daje praca i radość z urzeczywistnienia najśmielszych planów naszego rządu w imię te-go, aby ludzie żyć mogli w szczę-sciu i dostatku.

Redak mój Litowczenko podał w swym przemówieniu kilka cyfr. Mówił, że straty, jakie ponosił je-go kolchoz wskutek wojny wyno-szą 45 milionów rubli, że w kol-chozie jest 417 dzieci, sierot i pół-sierot. Ta ostatnia cyfra na zawsze utrwała się w mej pamięci, bo jestem matką dwóch synów i słowo „pokój” zawiera dla mnie w sobie również radość macierzyń-stwa.

Wraz ze wszystkimi obrońcami pokoju my, kobiety radzieckie wo-lamy: obóz pokoju zwycięży ciem-ne siły wojny!

Maria Demczenko

Ten Mon Su

## Ziemia

(pieśń wieśniaka)

1.  
Ziemio, aby cię wysławić nie wystarczy mi sił.  
Nie wystarczy słów — język ludzki zna ich za mało,  
A mimo to, Ziemio, ty zawsze wiedziałas,  
Kto cię kochał naprawdę szczerze.

2.  
Ale nawet w te szczęśliwe dni,  
Kiedy wszystko na świecie śpiewało o wiośnie,  
Kiedy strumienie nieustannie dzwoniły swą pieśń  
I ptaki weseliły się w przestworzach,  
I słońce wysyłając swoje jasne promienie,  
Znowu ogrzewało ubogie wioski —  
Ziemio, Ziemio. Ty nie mogłaś powiedzieć nam,  
Słów nadziei i pocieszenia.  
I niosąc urodzaj w swych piersiach,  
I pokrywając trawami doliny,  
Nie mogłaś wyglądać zmarszczek,  
Mojej duszy, która tak się wycierpięła.

3.  
Kiedy kłosa — owoc mojej pracy,  
Kolysały się i szumiły na wietrze,  
Wiedziałem, że kolysza się w nich krople potu,  
Przelane w upalne i chłodne dni.  
I każdej jesieni ciągle tę samą  
Ukrywałem nadzieję: może ten rok  
Pierwszy w życiu będę mógł przeżyć  
Bez głodu, bez cierpienia i nieszczęścia...  
I plan upragniony zbierając  
Pracowałem bez odpoczynku i snu  
Po to, żeby znowu samuraje  
Zabraли mi ostatnie ziarno.

4.  
Już wschodzi dla nas słońce szczęścia —  
Ziemio, co ci mam jeszcze powiedzieć?  
Wyciągnij do mnie matczyne ramiona  
A przylutuj się do mojej piersi.  
Przeszły lata niezliczonych kłesk,  
Dla mej wioski, dla rodzinnego kraju,  
Gdzie tak z tobą, mocno związani  
Wiedliśmy swój żywot nędzary.  
I tyle lat, pracując w bezkresnej mgłę  
Wieśniacy łzami zraszali pola,  
Aż te lzy pałace, jak nasza krzywda,  
Dotęgliśmy serca twojego, Ziemio.  
I potem zrozumieliśmy, my, biedacy  
Godzący się ze swoim nędznym losem,  
Że nie łzami zdobywa się wolność,  
Ale męstwem, walką i krwią.  
I wtedy my wybraliśmy wolność,  
Kiedy wierni wielkim ideom  
Przynieśli szczęście północnej Korei  
Czerwonoarmisci z kraju Stalina.

5.  
Czy poznasz mnie Ziemio? —  
Jestem przecież inny niż dawniej.  
Chłopski trud radujący teraz duszę  
Mówi mi o spełnionych nadziejach.  
Te dni tak cieszą moje serce  
Jak słońce po długiej niepogodzie.  
I teraz, jeśli się śmieję, to z całej duszy,  
Jeśli płaczę, to tylko ze szczęścia.

6.  
Jak teraz jest lekko oddychać i żyć,  
Ziemio, Ziemio, ludowa na wieki.  
Muszę ułożyć dzwiczną pieśń  
Żeby słyszały ją góry i lasy,  
Żeby słyszał ją cały kraj,  
Moich pół wiosenne przestrzenie —  
Cała Ziemia ojczysta,  
Na której sieją ziarna nowych dni.

Thum. Andrzej Jasiński



Zbieranie podpisów pod Apellem Sztokholmskim w Moskwie! Im Tkackim Kombinacie „Krasnaja Roza”.

# S T A R A I N O

## Oczyrna pisarzy

KRYSTYNA LEŚNIEWSKA

### Wychowanie „Elity”

Po wojnie mogliśmy zaobserwować znaczny wzrost literatury, która była rozrachunkiem z przedwojenną rzeczywistością. W chwili obecnej literatura o tej tematyce uległa pewnej dezaktualizacji, przesłonięta przez problemy chwili obecnej, które bogactwem treści i swą doniosłością narzucają się pisarzowi. Niedawno jednak ukazała się na rynku ciekawa i nowa pozycja literatury „rozrachunkowej”. Jest nią książka Stanisława Kowalewskiego „Niedostatecznie”. Autor nawraca w niej raz jeszcze do problemów Polski przedwojennej. Pozycja ta jest o tyle nowatorska, że porusza problemy odzicia młodzieżowego, zajmuje się demaskatorskim przedstawieniem systemu szkoły sanacyjnej. Takiej pozycji w naszym powojennym dorobku literackim nie posiadaliśmy. Kowalewski na przykładzie państwowego gimnazjum w Mrokach stara się ukazać faszyzujące metody wychowawcze „lojalnych” nauczycieli, światek mieszczański i świat uczniowski, walkę młodych postępujących uczniów z zaklamaniami i głupotą obozowa.

W chwili obecnej, gdy stajemy przed początkiem nowego roku szkolnego, będzie rzeczą słuszną skonfrontowanie nowej treści wychowawczej polskiej szkoły z przeszłością. Kto uczył w przedwojennych szkołach, jak czego i kogo uczono? Oto zasadnicze pytania stojące przed analizującym. Postaramy się na nie odpowiedzieć biorąc za podstawę rozważań „Niedostatecznie”.

W powieści Kowalewskiego możemy wyróżnić trzy zasadnicze reprezentatywne grupy nauczycieli. Pierwsza to entuzjastki i apologetki sanacji. Ludzie, dla których nauka jest rzeczą obojętną, pretekstem dla urabiania ludzi reżimu, dodatkami do funkcji polijanta i wychowawcy „elity”. Druga grupa to liberalni, napoly zdziwaczali „starzy belfrowie”, jak ich popularnie nazywano w szkole. Widzimy tu galerię zasuszonych panien w wyleniałych lisach, wychowujących koty w domu a dzieci w szkole. Przesuwają się sędziwi profesorowie, amatorzy dobrej kawki i butelki z ciepłą wodą dla ogrzania łóżka, rytmicznie, urzędniczo pedagogicznie, obcy osiągnięciom nowoczesnej wiedzy. Profesorów tych nauca ani parzy ani żębi. Wysługują swą emeryturę, plawią się w domowych kłopotach i uczą tak, jak za ich czasów uczono. Z letargu wyrwywają ich czasem tylko jakieś grubsze świniństwa ich sanacyjnych kolegów. U Kowalewskiego widzimy ich w scenie sesji pedagogicznej w sprawie usunięcia Marka Działyńskiego, podczas której szereg liberalnych profesorów wypowiada się przeciw temu bezprawiu.

Ich zwyczajowa wierność powoduje jednak, że ulegają wpływowi grupy pierwszej, a tym samym popierają politykę reżimu. Grupa trzecia wreszcie to wychowawcy i nauczyciele z prawdziwego zdarzenia, a przede wszystkim ludzie postępu, wiążący walkę o szkołę z walką o postęp społeczny. Jeśli jednak idzie o książkę Kowalewskiego, to nie znaleźli oni w niej należycie miejsca. Zginęli, przytłoczeni sanacyjnymi krzykaczami i hodowcami wyleniałych kotów. Papierowa postać pozytywnego profesora Sulca nie ratuje sytuacji, wręcz przeciwnie — pogłębia bezradność społeczeństwa. A przecież nie wolno zapominać o grupie postępujących nauczycieli, o przedwojennych szeregach Związku Nauczycielstwa Polskiego, które strajkami doprowadziły do swego zwycięstwa nie tylko do walki o demokratyzację nauki, ale także do walki z postępującą faszyzacją kraju.

Drugim z kolei zasadniczym pytaniem jest, jak uczono w tej szkole? Zagadnienie to ściśle się łączy z poprzednim. Od policjantów reżimu lub zastraszonej „funkcjonariuszy” trudno było wymagać właściwych metod nauczania. Młodzież od chwili wstąpienia do szkoły zdawała sobie z tego jasno sprawę. Wiedziała, że w tej szkole nie otrzyma. Najlepiej charakteryzuje ten stosunek rozmowa uczniów, omawiających przebieg egzaminów maturalnych:

— O, inni dawali sobie radę pierwszorzędnie. Zapomniałem ci powieść, że jeden z tematów, które miałem w kieszeni nadawał się dla Antosia. Właściwie zlewali wszyscy — i ci od polskiego i ci od historii. Nikomu nie chciało się silić na improwizację. Po co? Jaka nauka, taka i matura.

— Jaka nauka, taka i matura... — No, chyba. Myślisz, że kto sobie robił z tego powodu jakieś ceregiele? Wbili nam dostatecznie chyba w głowę, że wszystko puc, lipa, blaga. Kto chce się uczyć, będzie się i tak uczył. A maturę? O, nie. Brać ich na serio, dać się terrorizować i w błędny strachu wypisywać na los szczęścia jakieś brednie?... Nie. Całkiem spokojnie, przyzwyczajając, nawet rozsądnie, wszyscy odwalali swoje.

Omawiając to zagadnienie nie można zapomnieć o roli „Straży Młodych” w szkolnym społeczeństwie. Organizacja ta była kwintesencją metod wychowawczych sanacji. Jej zasadniczymi środkami wychowawczymi było: donosicielstwo, szpiclo-

stwo, karierowiczostwo, zupełna obojętność dla spraw pracy i nauki. Oficjalnym jej zadaniem było wychowanie przyszej „elity”; praktycznie zajmowała się transmisją szpiclowskich metod na masę uczniowską. Postępowi nauczyciele mieli w tym wypadku ograniczone możliwości działania. Metod szpiclostwa i podsłuchu z równym powodzeniem używano w stosunku do nich jak i do uczniów. Tym nieraz należy tłumaczyć ich pozorne niekonsekwencje postępowania, ich chwiejność. Pozostają jeszcze do rozpatrzenia dwie kwestie: kogo uczono w sanacyjnej szkole i czego uczono?

Skład socjalny przedwojennego szkolnictwa jasno zarysowuje się na kartach książki. Przy czym należy pamiętać, że autor opisuje gimnazjum państwowe, a więc takie, do którego pozornie mieli dostęp wszyscy. Jak jednak było w rzeczywistości? Masy drobniomieszczańskie zalewały szkoły. Kupcy, fabrykanci, lekarze, adwokaci, oto najczystsze zawody rodziców. Odsetek dzieci robotniczo — chłopskich był przerażająco mały. Ale nawet mimo to starano się im w specjalny sposób uprzyjemnić życie w szkole. Dobrą ilustrację walki z „nadprodukcją inteligencji” daje Kowalewski. Dyrektor sprawdza dane odnoszące się do zawodów rodziców, co daje mu okazję do wygłoszenia takiej mowy:

— No i co? Do gimnazjum! Do państwowego gimnazjum wszyscy się pchają. Drzwiami i oknami. Każdy gwałtem chce iść na inteligenta. Aby do matury. Do matury! I po co to wszystko? Nie każdemu dać być orłem. Zaraz do gimnazjum. Ciągłe powtarzanie. Ojciec ma gospodarstwo — pomagając ojcu, potem gospodarować na swoim. Na kursy rolnicze, pszczelarstwo, a nie do gimnazjum. Ojciec — szewc? — uczyć się od niego, tłuć w kopyto i prowadzić wspólny warsztat. Matka krawcowa — to i córka może być krawcową. A tak co? Ledwo to być przepcha, tę naukę z roku na rok i nosem podpierać. Po co to komu? Rosną z was tylko serie wymoczków, rozparzeńców, ćwierci i półinteligentów. Nie chcecie pilnować własnego podwórka. To co robią rodzice, to już nie dla was. Aby do matury. Tymczasem gimnazjum to przedsionek do wyższych studiów dla przyszłych doktorów, inżynierów i profesorów. Dla ludzi rządzących krajem. Dla elity. Rozumiecie!”

Czego uczono w szkole? Minimum wiedzy, której dostarczano uczniom było w specjalny sposób przeziarte przez sanacyjną frazeologię oraz przez wszechwładny w owym okresie mit „nauki czystej”, za którą ukrywał się wyraźny reakcyjny sens polityczny. Młodzież po ukończeniu takiej szkoły w większości wypadków

naukowo nie reprezentowała sobą nic, była grupą zniechęconych, zdeorientowanych dyktantów. Nauka w mrozkim gimnazjum dla biedniejszych otwierała w najlepszym wypadku drogę do lichej posadki urzędniczej, dla bogatszych drogę do studiów. W jednym i drugim wypadku spełniała ona rolę szczebla „karier” — wyrazu modnego przed rokiem 39. Ta droga życiowej kariery zależna była od pochodzenia społecznego. Jedemu sniło się biurko urzędnicze, innemu teka radcy ministerialnego. W żadnym wypadku nie myślało o nauce. Sprawa ciasnego „awansu życiowego” ciągle rozbrzmiewa na kartach książki. Uczniowie zatracają swą godność, aby tylko żyć trochę „lepiej”, aby czegoś się dochrapać, a często byle tylko ogzystować. Antos Kowalewski nie ujmie się za Markiem, gdy ten występuje przeciw metodom stosowanym przez sanacyjną organizację „Straży Młodych”, mimo że myśli tak samo. „Matka ciężko tyra na poczcie, trzeba będzie przez maturę przeskoczyć. Więc wszystko można, ale z polityką to buzia na kłódkę. Nie czas. I dlatego na zebraniach ani mru, mru, jak inni”. Felek Kozub, chcąc wybić się w „Straży Młodych” i uzyskać tą drogą możliwość kariery, kopie dolki pod Markiem Działyńskim. W młodzieży rozwija się głęboko nieprawdziwe przekonanie, że nauka, uczciwość, prawda, to rzeczy niepotrzebne, to „bluff i bujda” mówiąc językiem Antosia. Ten wypaczający młodzież, przeraźliwy w swej treści wychowawczej czynnik „karier” został bardzo słusznie wysunięty przez Kowalewskiego jako podstawowy składnik szkoły sanacyjnej. Autor może tylko nie zbyt wyraźnie sięgnąć do ustrojowych przyczyn takiego wychowania.

Za szeroko rozbudowanej problematyki szkolnej ukazuje się w powieści Kowalewskiego obraz społeczeństwa bardzo fragmentaryczny i skrzywiony. To społeczeństwo wieksza się poprzez popekane szwy życia szkolnego do książki. Autor zajmuje się nim mało, umieszcza je wycinkowo na marginesie życia szkoły. Wylegantowany tłum sklepikarzy, rzemieślników, przedstawicieli wolnych zawodów skupia się pod sztandarami Narodowej Demokracji. Uroczystości zaczynają oni od szumnych hasł, by skończyć je na krzykach przeciw „żydo-komunie” i pogromie urzędowym w miasteczku. Widzimy sanacyjną elitę ludzi, którzy na obwie „Straży Młodych” mieli wychowywać młodzież w duchu państwowotwórczym.

Topografia społeczna, która znajduje swój wyraz także w składzie społecznym uczniów, jest głęboko niewystarczająca. Tak w życiu miasteczka jak w życiu jego gimnazjum

zabrakło podstawowej siły — klasy robotniczej. Hryniec jako jej reprezentant jest zaledwie błądą „kaikomanią”. Dlatego na kartach książki królują inteligentnie bunt Marka Działyńskiego, a nie ma rzeczywistej walki klasowej. W postaci tej zamknęła się cała słabość klasowego ujęcia rzeczywistości przez autora. Narzuca ona nietypowość konfliktów, ogranicza jeszcze bardziej pole widzenia społecznego. Braki tego ujęcia podkreśla jeszcze fakt, że Kowalewski oparł swą krytykę przedwojennego społeczeństwa na paradii. Specyficzne środowisko uczniowskie, obracanie się wśród szkolnych kawałów, nadużywanie gwary uczniowskiej spowodowało przejawskawienie w opisach i krytyce. Kowalewski nie uniknął niebezpieczeństwa patrzenia na świat oczyma ucznia. Nie potrafił umiarkowanie dawkowo odgrzebanego z szkolnych wspomnień uczniowskiego humoru. Jego sceny zbiorowe przedstawiające jakieś uroczystości szkolne, czy malomiasteczkowe stoją na pograniczu realizmu i parodii, np. scena wyścigu dwu orkiestr: strażackiej i kolejowej, lub opis walki między gimnazjum a handlowką w kinie. Rodowód tej parodii Kowalewskiego tkwi jednak nie w chęci satyrycznego „cięcia” rzeczywistości sanacyjnej, ale właśnie w owym humorze sztabackim. Dyrektor w pewnych momentach przestaje być sanacyjnym pajacem, a staje się autentycznym cyrkowcem (mam na myśli prawie wszystkie jego mowy „państwowe — twórce”). Uczniowie czy drobniomieszczańskie elita z endeckiej i BBWR upadają na głowę do cyrkowej krotchwilnej gwiedzi. Sprośność w konsekwencji wypaczenia i zafalszowanie właściwego obrazu klasowego. Wypaczające młodzież faszyzowskie metody wychowawcze stają się często w obrazie danym przez Kowalewskiego farsą. Droga krytyki i kompromitacji systemu sanacyjnego przez parodię okazała się na przykładzie książki Kowalewskiego drogą niesłuszną. Nie jest ona na szczęście, pomimo iż dominuje w atmosferze książki, metodą w niej jedyną.

Książka Kowalewskiego oddaje trafnie „atmosferę” szkoły sanacyjnej, przenikliwie dostrzega jej antyludowy charakter, jej faszyzujące zapędy, jej moralną potworność. Autor nie potrafił nakreślić jasno ram walki klasowej dwudziestolecia; walki z faszyzowskim ustrojem, który urabiał na swoją modłę państwową szkołę, mimo to „Niedostatecznie” pozostanie zjadliwym i celnym aktem oskarżenia, skierowanym przeciw jednemu z najpotworniejszych przejawów kapitalistycznej pedagogiki, jakim było sanacyjne gimnazjum w Mrokach.

Krystyna Leśniewska



Marek Pieczyński

### Narzędzie ucisku narodowego

Bohaterka „Topieli” Zofii Drózd-Satanowskiej rozpoczęła pracę nauczycielską w zapadłej wiosce białoruskiej jako „przepojona naukami o kagańcu oświaty, o miłości bliźniego i na dodatek — o potęgę i mocarstwowości Polski, o łączeniu się wiekiutym Litwy, Białorusi i Ukrainy z wielką, wspaniałą, szlachecką i szlachetną Polską”. Wyjechała zaś po roku już niemal jako komunista. Ta nieoczekiwana edukacja nauczycielki wśród „białoruskiej ciemnoty” nie jest zjawiskiem „zaskakującym”.

Topiela, zapadła wieś nad Horyniem, z „Tamą Stroną” zamieszkała przez Polaków i jej kilkuklasowa szkoła, to wcale dobrej punktu obserwacji, mogący więcej nauczyć maturzystkę, niż oficjalna lekcja „zagadnień współczesnych” w sanacyjnym gimnazjum. Topiela pozwoli bowiem zobaczyć podszewkę mitu „mocarstwowości” w obrazie zanedzonych, otumanionych głodem dzieci, pozwoli sprawdzić funkcjonowanie sprawiedliwości „Wielkiej Rzeczypospolitej” w historich o sekwestracjach i zębach wybijanych na posterunku policji, pozwoli wreszcie zobaczyć praktyczne zasady „wolni z wolnymi” i „równi z równymi”, w marzeniu o zrzcuceniu narodowego jarzma. Najwięcej prawdy powie jednak Topiela nauczycielce o „kagańcu oświaty” i „misji cywilizacyjnej” Polski na wschodzie.

Doświadczenia nauczycielki polskiej podczas rocznego pobytu w Topieli w ostatnim roku „dwudziestolecia” mają charakter niezaprzeczalnej reprezentatywności. Topiela leży w punkcie przecięcia klasowych i narodowościowych konfliktów wsi za czasów sanacji. Dlatego książka Satanowskiej streszcza nam wiedzę o funkcji szkoły i nauczyciela w sanacyjnej polityce ucisku narodowego, pogłębiając uciśk klasowy biedniackiej wsi białoruskiej.

Jakie perspektywy otwiera wsi nauka? Dyskutują o tym rodzice na wstępnym zebraniu w szkole: „...Jedziesz do miasta i patrzysz. Na prawo ulica, na lewo ulica, przed tobą i za tobą to samo. A ty chcesz na rynek. Póki się dopytasz, to już kucy żyta nakupią i do domu odjadą... A umiesz czytać, ulicę przeczytasz i od razu trafisz.

— Właśnie — potwierdziła nauczycielka.

— Nie ma co mówić — ciągnął dalej chłop. — Nauka jest potrzebna, ale dziecko jeszcze potrzebniejsze.

— Prawda — zgodzono się jednocześnie.

— Bo żeby do miasta jechać, żyto trzeba mieć do sprzedania... A żeby było żyto, muszą dzieci pracować razem z ojcem, a nie do szkoły chodzić.”

Nawet zawrotna perspektywa możliwości czytania nazw ulic jest udamniona przez ekonomiczną konieczność. Dziecko jest niezbędne w gospodarstwie siłą roboczą. To już nie upór, nie zacofanie, ale „dola chłopiska”, fakt, że „ciotka” musi być najważniejszą osobą w rodzinie, gubi Włodzia, gubi dziesiątki malców nie mających sił na zniesienie twardych praw „chłopskiej doli”. Nic więc dziwnego, że i nauczycielka dochodzi do wniosku — „Pocóż im czytanie, gdy są głodne?...” A szkoła przy-

nosi tylko historyki o kraju, gdzie dnia nie ma i o jeździe na psach. Nauka nie zbroi do życia, nie wskazuje dróg wyjścia. Jest kosztownym luksem.

Błędne koło nauki w burżuazyjnej szkole ujawnia nowa rozmowa. Znowu wracamy do zebrania.

— Z nauki chleba nie będzie — niechętnie zauważyła jakaś baba.

— Kto pisze u nas a nie haruje, temu chleba nie smakuje.

— Nie macie racji, kobieto — usmiechnęła się nauczycielka. — A z czegoż to ja jem chleba jak nie z nauki.

— U państwa co innego. Pany mogą być nauczycielkami i doktorami a my nie. Pochodzi dziecko za krowim ogonem w lato, to mu i nauka z głowy wyleci ani się obejrzy.”

I to jest już koniec „błędnej koła”. Skończenie szkoły daje dzieciom możliwość ponownego wyposażenia w życie szkolne biedniackich dzieci. Zrozumienie tego koła, zrozumienie jego nierozrwalnego związku z ustrojem, to jednocześnie zrozumienie klasowej funkcji nauki w burżuazyjnym społeczeństwie, to zrozumienie jego „mechanizmu”. I nauczycielka do tego zrozumienia przy końcu powieści dochodzi.

Na opowiadaniu „bajek” w szkole i wkuwaniu abecadka nie kończy się jednak w myśl intencji władz wyższych funkcja nauczyciela. Nauczyciel jest wrogiem nie tylko dlatego, że odrywa dzieci od roboty, grozi pieniężnymi karami, żąda zawrotnych dla biedniaka sum na książki i zeszyty. Nauczyciel ma być prawą ręką władz administracyjnych w dziele ujarzmienia kraju. Nie darmo pierwsze pytanie inspektora dotyczy portretów dostojników państwowych, nie darmo odpowiedź „To jakiś polski święty” na widok portretu prezydenta wprawia go w szorstą furję niż pomyłki dzieci w arytmetyce. Nauczyciel ma być ambasadorem kultury zaboborów — i więcej nawet: w praktyce ma być agentem policji. Wiesz białoruska czuje to dobrze. I dlatego nowoprybyła nauczycielka witana jest kamieniami i drwinami: „Pani nauczycielka, Polaczka”. Te słowa stały się bowiem obelgami w życiu ujarzmionej Topieli.

Sojusz nauczycielki z buntowniczą Topielą dokonuje się nie na płaszczyźnie ideologicznej ekspansji myśli mocarstwowej, której ma być nosicielką. Sojusz ten wypływa ze wspólnego lęku o życie suchochotniczych dzieci, ze wspólną nienawiścią do sekwestratora i do policyjnych prowokatorów na katedrach nauczycielskich. Wynika wreszcie z łączącej polską nauczycielkę z białoruskimi komunistami zrozumienia konieczności walki ze wspólnym niebezpieczeństwem — ze zbliżającą się agresją hitlerowską. Białoruski chłop Grzegorz, wielokrotnie bity w więzieniach polskich, wyrusza dobrowolnie bronić Warszawy, a polska nauczycielka powraca do Topieli, by dzielić z nią losy nadciągającej wojny. Współpraca białoruskich komunistów i polskich postępujących rwsuje wyraźny kontrast między imperialistycznym szowinizmem a proletariackim internacjonalizmem.

Marek Pieczyński

Alina Witkowska

### Szkoła dla biedoty?

W ogromnej większości naszą przedwojenną powieściową krytykę szkoły burżuazyjnej cechowała nieśmiałość, brak politycznie słusznej opinii, brak politycznego zaangażowania. Wobec klasowo-ideowych powiązań szkoły z życiem. Stąd niepełne rozumienie sytuacji szkolnictwa w kraju, nieskoordynowane, buntarskie przejawy odruchy zniechęconych nauczycieli, szarpających się w pojedynkę z aparatem szkolnego ucisku. Mimo to książki te w sposób nie zawsze słuszny, ale często wstrząsający znacząco etapy drogi polskiej szkoły. Te błędy i pomyły stały się także udziałem powieści Wiktora.

Akcję „Orki” na ugorze” chronologicznie należało by umieścić w drugim dziesięcioleciu okresu międzywojennego, terenowo — we wsi i szkole góralskiej. Rola szkoły w małym świetle wiejskim, stosunek dzieci do niej, walka nauczycielstwa z bezduśnością i marazmem kierowniczego aparatu szkolnictwa, to centralne problemy książki Wiktora. Ciągły strach sanacyjnych władz szkolnych przed radykalnymi ruchami chłopskimi powodował trzymanie szkoły na uboczu, z dala od bolączek życia tych, których miała wychowywać. Indywidualne próby „schodzenia w lud” podejmowane przez bohaterkę powieści nauczycielkę, wyrobiły jej u władz niebezpieczne miano „burzycielki ludu”. Rezultatem wyobcowania się szkoły ze środowiska wiejskiego była ciemnota, zabobon i średniowieczne gusła, umożliwiającej jednostkom przedsiębiorczym zerwanie na zacofanych elementach wsi. Dlatego szczególnie cenna, demaskatorska i oskarżycielska jest książka Wiktora w tych partiach, gdzie mówi o dzieciach wiejskich i świecie, z którego one pochodzą. Biedota wiejska, bezrolni i malorolni to gros składu społecznego tej młodzieży. Nauczycielka „w czasie nauki tak często widziała lby, niedze graniczące z głodem, buse nogi zbite na kamieniach, przez długie dni lata, aż do późnej jesieni uganiające za krowami. Każda ich godzina z osobna, każdy strzęp ubrania, każde spojrenie było targającą opowieść-

cią”. Były to często szkielety dzieci, przyrzucone łachmanom, noszące w ciele zarodki chorób, młodzieży, która dla delegatów Kuratorium przedstawiała ciekawą kopalię problemów w rodzaju: „czy głodna młodzież może dobrze wykonywać ćwiczenia gimnastyczne”. Krzywydo społecznej, nęczy tysięcy dzieci nie zlikwidowała namiastka pomocy chłopu — dożywiania młodzieży w szkole. Każde natomiast żywsze zainteresowanie się środowiskiem wiejskim przez nauczycielstwo było szybko i radykalnie likwidowane. Obawa utraty pracy była obrozą, która w przywołanej odległości trzymała nauczycielstwo od problemów społecznego życia. Wyprane z indywidualności, zasympianym mnóstwem biurokratycznych przepisów, nauczycielstwo spadało do roli źle płatnych urzędników, mechanicznie wykonujących przepisy i rozporządzenia.

W obronie godności nauczycielskiej, prawa człowieka do walki o szczęście drugiego człowieka, stawali nauczyciele postępowcy. Czekali ich świadoma, rewolucyjna walka z systemem politycznym i społecznym ucisku. Każde inne poczynanie było buntarską namiastką walki. Nauczycielka z „Orki na ugorze” startująca z błędnych ideologicznych pozycji zabiegała w zaulek judymostwa, filantropii i rozpaczliwego szamotanlu się z władzami, Nauczycielka, która widziała wielkie uzdolnienia, tłumione przez ciężkie warunki, starała się wydobycić ich bogactwo spod nasybów, aby budować przyszłość w sercu dziecka, nauczycielka, która „usiłowała ukształtować ich (dzieci) dusze z gliny mającej nieraz twarde kamienia, ubitego potężną siłą przesądów i wierzeń”, która usiłowała „orać na ugorze” ludzkich dusz, wydobycząc z nich piękno i dobro zapomniała, że nie przez serce zmienia się świat. Powtarzała w zmodyfikowanej formie utopijne twierdzenia o przekształceniu bytu człowieka poprzez zmianę jego ducha i świadomości. Nie rozumiała, że tylko rewolucja społeczna i gwałtowne zmiany w podbudowie ekonomicznej mogły stworzyć pole do pracy nad nowym człowiekiem. Byłoby to

już nie „orka na ugorze”, ale stanie w przoraną rewolucją głębi ziaren proletariackiego piękna i dobra. W sytuacji zaś sanacyjnej rzeczywistości „praca nad duszą” dzieci chłopskiej biedoty była śmieszny nonsensem. Dzieci, które od 13-go roku życia stawały do ciężkiej zarobkowej pracy, dzieci, przez warunki zmuszone do opuszczenia szkoły po 2 — 3 ch latach, często popadające we wtórny analfabetyzm, dziećmi tym w walce o chleb piękne słowa o sercu i miłości musiały się wydawać zwykłą kpiną.

Szkoła wiejska nie dawała dziecku żadnych konkretnych możliwości, nie otwierała perspektyw przed młodzieżą wiejską. Praca nauczycielki z „Orki na ugorze” pozostawała w zgodzie z linią programu władz. Złudzeniem było przekonanie nauczycielki, że uczy dzieci walki o lepsze jutro. Zamiast świadomości krzywydo i walki klasowej dawała im jako broń abstrakcyjne pojęcia „dobra” i „piękna”. Zaiste broń to niegroźna. Polska sanacyjna próbowała szerzyć wśród warstw wiejskich złudzenie o rzekomej pracy nad ich losem. Jedną z fałszywych chorągiewek, którą burżuazja mamiła chłopiecko czy była polska, własna, narodowa szkoła. Nauczycielka z „Orki na ugorze” pracowała ugrunтовuje to przedświadczenie wśród chłopów. Nauczycielka, uwierdzając w umysłach mniemanie, że za krew przelaną na wojnie Polska płaci chłopu szkoła, podejmowała niestety jeden z sposobów usypiania czujności klasowej. Nauczycielka z „Orki na ugorze” we wszystkich zasadniczych punktach popierała program władz. Jej „rewolucyjność” nie wybiegała poza słowną krytykę jastrawych znamion burżuazyjnego reżimu: biurokratyzmu i teoty wyższych urzędników. Postępowanie nauczycielki jest nieporozumieniem wokół postępowości.

Dzisiejsze doświadczenie społeczne każe widzieć w buntarskich poczynaniach nauczycielki zbliży starych, judymowskich rekwiżytyw. Nie tędy szła droga do walki o nową wieś i nową szkołę.

Alina Witkowska

# W A S Z K O Ł A

MARIAN MINIAS

## K U Ź N I A N O W Y C H K A D R

Rozpoczyna się nowy rok w szkolnictwie rolniczym i dlatego należy zastanowić się nad funkcją szkół rolniczych w obecnej dobie, nad rolą nauczyciela, jego dotychczasowymi osiągnięciami i planami.

Cel szkół rolniczych precyzyjnie jest jasno: dostarczenie kadr do sprawnej i szybkiej przebudowy gospodarki drobnostawowej na wsi na gospodarkę spółdzielczą.

W związku z celem szkół rolniczych wymagana jest odpowiednia postawa nauczyciela tych szkół.

Tegoroczne kursy wakacyjne dla nauczycieli liceów rolniczych miały — między innymi — za zadanie wyrobić w nauczycielu wysoki poziom ideowy, socjalistyczny stosunek do pracy i poszerzyć wiedzę o najnowsze zdobycze nauki radzieckiej.

Jeżeli Departament Szkolenia Kadr przeprowadzi zamierzenia w stosunku do nauczycielstwa szkół rolniczych rozpoczęte na wakacyjnych kursach, to szkolnictwo rolnicze stanie w bieżącym roku szkolnym na jednym z przodujących miejsc w realizacji zadania wychowania kadr, zgodnie z wytycznymi Planu 6-letniego i ostatniego Plenum K. C. P. Z. P. R.

Ażeby łatwiej przedstawić prace i wyniki szkół rolniczych, ograniczę się do jednej ze szkół — Państwowego Liceum Rolniczego w Dąbrowie Zduńskiej.

Praca w liceum rolniczym w Dąbrowie Zduńskiej obejmuje cztery zakresy: 1) nauczanie i samokształcenie, 2) prace praktyczne uczniów i stosunek do gospodarstwa szkoły, 3) udział w pracach najbliższego terenu i 4) praca na szerszej płaszczyźnie społecznej i politycznej.

Do ostatniego roku każdy z nauczycieli miał swoje niekontrolowane metody pedagogiczne. Nawet dyrektorzy przechodzili często do porządku dziennego nad niewłaściwymi metodami. Obowiązywało hasło: „Każda metoda dobra, byle nauczyć“.

W Państwowym Liceum Rolniczym w Dąbrowie Zduńskiej począwszy od bieżącego roku, nauczycielstwo było już innego zdania. Nie każda metoda nauczania jest dobra, lecz ta, która pozwala wykorzystywać do maksimum jednostkę lekcyjną, t. zn. podać możliwą do jednorazowego opanowania ilość materiału nauczania, ugruntować go, powiązać z całością zagadnienia, powiązać z podłożem ekonomiczno-politycznym kraju i świata.

Założenia te zostały wypracowane na zebraniach Z. O. Z., na podstawie pedagogiki Kairowa. Studiowanie pedagogiki Kiarowa rzuciło nauczycielstwo w Liceum Rolniczym w Dąbrowie Zduńskiej nowe światło na cały szereg niejasności pedagogicznych, dało możliwość wprowadzenia ucznia na właściwą drogę, która wiedzie do wychowania socjalistycznego.

Nauczyciele omawiali między sobą wyniki nauczania, dzielili się doświadczeniami, co w rezultacie dało nadszpiewane wyniki.

Dwie uczennice, które przyszły do naszego liceum z liceum ogólnokształcącego, gdyż nie mogły tam dać sobie rady, po dwóch latach pobytu u nas, skończyły maturę z wyróżnieniem, a dziś jedna z nich jest zastępcą dyrektora zespołu P. G. R. Widadz w powiecie Brzozów.

Wszyscy absolwenci liceum są dumą szkoły. Z piętnastki, która poszła do P.O.M.-ów — jedną z uczennic skierowano na studia zootechniczne do Związku Radzieckiego, sześciu na studia w kraju, a reszta pracuje w P.O.M.-ach, na kierowniczych stanowiskach.

Dziesiątka skierowana do PGR-ów jest na stanowiskach zastępców dyrektorów majątków lub zespołów, a dwójka, pracująca w Szkołach Praktyków Specjalistów cieszy się również dobrą opinią.

Osiągnięcia tych wyników w bieżącym roku nie należy przypisywać tylko nauczycielstwu. Nauczyciel, to dopiero część szkoły. Dużo zasługi leży po stronie samej młodzieży.

Chcę wspomnieć o samokształceniu.

Kiedy pierwszy okres nauczania wypadł fatalnie w ocenach, została rzucona przez aktywny ZMP myśl pomocy koleżeńskimi słabszym przez zdolniejszych. Myśl uczenia się zespołowego. Pótrocze dało wyniki niepodważalne i wtedy to, na jednym z zebranych ZMP powstała myśl współzawodniczą, skonkretyzowana na naradzie produkcyjnej. Przedstawiciele poszczególnych klas za przykładem Markiewki, wezwali młodzież do współzawodniczenia długofalowego: 1) o zwiększenie procentu ocen dobrych, bardzo dobrych i zmniejszenie niedostatecznych, 2) o zwiększenie ilości promocji do następnych klas, 3) o zmniejszenie opuszczanych godzin lekcyjnych.

W podsumowaniu rocznym, na pierwsze miejsce wysunęła się pod każdym względem klasa naturalna, a na drugie miejsce klasa II-a,

zdobytą tytuł klasy przodującej. Trzeba było widzieć zdolniejszą uczennicę tej klasy, jak wiodły dyskusje ze słabszymi na tematy zadanych lekcji. W klasie, na podwórku, w parku przy zajęciach praktycznych, w stołówce i sypialni — wszędzie wykorzystywali czas, aby pomagać słabszym. Ten system nieustających dyskusji pozwolił na opanowanie przedmiotów. Uczniowie i uczennice nawet najslabsi, potrafili wybrnąć z każdego zagadnienia lekcyjnego.

Młodzież w ramach ZMP zorganizowała szereg sekcji jak: ideologiczną, mierzyniową, artystyczną, redakcyjną, prelegencyjną, pomocy koleżeńskimi, dekoracyjną, wycieczkową itd. Sekcje te spełniły wielką rolę. Młodzież pogłębiała w nich wiedzę marksistowsko-leninowską, zapoznawała się dokładniej z zagadnieniami państwa i sprawami ekonomicznymi kraju. Omawiano wykonanie Planu 3-letniego, Plan 6-letni i warunki jego realizacji, kwestię spółdzielni produkcyjnych, przerabając statuty wszystkich 3 typów i pracę Lenina i Stalina „O spółdzielczości na wsi“.

Zapoznawano się z osiągnięciami agrobiologii i zootechniki radzieckiej, ugruntowywano wiadomości podawane na lekcjach, przygotowywano zespoły artystyczne, gdzie młodzież mogła rozwijać swoje zdolności artystyczne i literackie.

Jan Marszałek

## TO WYNIKA Z ICH GŁOSÓW

Zagadnienie wpływu środowiska na wyniki nauczania coraz bardziej interesuje pedagogów, przekonując nauczyciela, że nie zawsze dziecko źle się uczy dlatego tylko, że jest leniwe, albo tepe, że dobre postępy ucznia, nie tylko od wrodzonej inteligencji zależą, że przyczyn niepowodzeń szkolnych szukać należy przede wszystkim w strukturze społeczno-ekonomicznej środowiska.

W związku z tym takie ujemne cechy ucznia jak: leniwość, niepunktualność, lekceważenie obowiązków szkolnych, wyrażające się w nieodrabianiu prac domowych, lub opuszczaniu zajęć szkolnych przestają być dla nauczyciela zagadnieniem — li tylko psychologicznym, a stają się również zagadnieniem społecznym, ustrojowym.

Stosunkowo bowiem łatwo jest dziecku wyrobić w sobie obowiązkowość, jeżeli w swoim codziennym życiu nie napotyka na poważniejsze trudności przy wykonywaniu stawianych mu przez szkołę obowiązków. Jeżeli dziecko, któremu zadano do domu jakąś pracę, nie ma obiektywnych warunków do wykonania jej — brak książek, pomocy naukowych, lub odpowiedniego miejsca, gdzieby ta praca w skupieniu mogła być wykonana — to z góry możemy się spodziewać, że obowiązkowość jego będzie zawsze szwankowała. Nie tylko tak długo, jak długo to dziecko będzie występować w roli ucznia, ale i na przyszłość w jego późniejszym „dorosłym“ życiu.

Tymczasem jeśli chodzi o dzieci wiejskie to można śmiało powiedzieć, że 80—90 proc. skazanych jest z racji przynależności klasowej swych rodziców na chroniczny brak czasu dla wypełniania swych obowiązków szkolnych. Czym dziwić się można, że dzieci te otrzymują słabsze oceny w szkole, że ich poziom umysłowy, na ogół — jest niższy niż dzieje w tym samym wieku i w tej samej klasie ale pochodzących ze środowisk innych?

Faktem wydaje się bezspornym, że dziecko wiejskie, właśnie z powodu swojego stałego zatrudnienia w gospodarstwie rodziców nie może osiągnąć takiego poziomu umysłowego, jaki osiągnąć było by w stanie, gdyby nie absorbowala go praca w gospodarstwie.

I tak: dziecko wybitnie uzdolnione, które w pierwszym i drugim roku nauki zachwyca nauczycieli swymi postępami, najczęściej w starszych klasach zadawała się musi ocenami zaledwie przeciętnymi. Dziecko o średnich zdolnościach natomiast wysilać się musi na to, by osiągnąć promocję choćby na samym dostatecznych. Dzieci zaś słabsze — które w wypadku, gdyby postawiono im więcej czasu do nauki, gdyby pozwolono im na codziennie uczęszczanie do szkoły, nie zatrzymując do innych zajęć — z powodu słabych postępów najczęściej zmuszane są do powtarzania klasy, a w konsekwencji do zrezygnowania z nauki przed ukończeniem szkoły. Stąd jeszcze jeden wniosek, że odśwież szkolny, to jawisko związane z drobnokapitałistyczną gospodarką na wsi.

Każdy jako tako obznajmiony z zagadnieniami oświatowymi w terenie mógłby dać dziesiątki przykładów uzasadniających ten punkt widzenia. Wiadomo bowiem dobrze, że dziecko na wsi, zwłaszcza w okresie jesiennych i wiosenno-lentnich robót w polu ma do nauki najczęściej tylko tyle czasu, ile zajmuje mu jego pobyt w szkole.

Wreszcie, przygotowano prelegentów do wyjazdów w teren z różnymi sekcjami.

Praca młodzieży w sekcjach ZMP to wielka baza kształcenia się młodzieży, przygotowująca czynnych i aktywnych członków socjalistycznego społeczeństwa.

Ta baza kształcenia się młodzieży, do której w Liceum Rolniczym w Dąbrowie Zduńskiej przykłada się olbrzymią wagę, nie we wszystkich



Zespołowa nauka daje dobre wyniki.

liczeach doceniana jest należyście, chociaż władze szkolnictwa rolniczego podkreślają na każdej konferencji, a zarządzenia różne, np. obowiązek internatowania młodzieży szkół rolniczych, mają na celu przyjąć nauczycielstwu z pomocą. Nic tak nie wpływa dodatnio na młodzież, jak życie internatowe, życie zespołowe, dalekie od domu, rodziny i wsi, a więc kanonów, praw i przesądów domowo-wio-

skowych, które są silnymi przeszkodami w pracach pedagogicznych. Dlatego też, przyjmując do Liceum Rolniczego w Dąbrowie Zduńskiej młodzież, nie przyjęła do innych liceów, a między innymi do liceum ogólnokształcącego, położonego obok naszego, nie martwiliśmy się. Byliśmy pewni, że z tej młodzieży wyrosną szybko elementy wartościowe, cenny dla prac w przebudowie gospodarce wsi polskiej, dla budowy socjalizmu.

Drugi kierunek prac w Państwowym Liceum Rolniczym w Dąbrowie Zduńskiej, to praca fizyczna i stosunek młodzieży do gospodarstwa szkoły.

Kwestia stosunku młodzieży do pracy fizycznej w gospodarstwach szkół rolniczych była trudnym problemem od początku istnienia szkolnictwa rolniczego i pozostała nim do dziś. Mało jest jeszcze szkół rolniczych, gdzie praca potraktowana jest należycie i gdzie młodzież ma do niej pozytywny stosunek. Na różnych konferencjach i kursach, spotykam się ciągle z narzekaniem dyrektorów i nauczycielstwa na niewłaściwy stosunek młodzieży do pracy. Dziwię się i niedowierzam, gdyż pracując od 5 lat w szkolnictwie rolniczym, nie spotkałem w szkołach, w których uczyłem, złego stosunku młodzieży do pracy. Jeżeli były czasem niedociągnięcia, to wina zwykle le-

żała nie po stronie młodzieży, lecz sił instruktorskich lub nauczycielskich. Podchodzono do pracy i uczenia w sposób tradycyjny — majątkowo-obszarniczy. Widziano w uczniu jedynie siłę fizyczną, a nie współgospodarza.

Gospodarstwo Liceum Rolniczego w Dąbrowie Zduńskiej uważane jest przez młodzież za własność wspólną. Każdy czuje się odpowiedzialny za jego wydajność.

Praca oparta jest na normach. Młodzież rozumie znaczenie norm i pracę wykonuje sprawnie, spręcznie i dokładnie. Kontrolę wykonanej pracy przeprowadza sama młodzież. Ocenę również.

Nauczycielstwo Liceum Rolniczego w Dąbrowie Zduńskiej przyjmując takie metody pracy dla młodzieży, jest przekonane, że tylko w ten sposób młodzież może nabrać właściwego stosunku do pracy, w ten sposób rozbudzi się w młodzieży zainteresowanie pracą, myśli twórcza, racjonalizatorstwo a tym samym młodzież szkolna zostanie włączona w ogólnokrajowy nurt produkcji socjalistycznej.

Co pewien czas pojawia się u nas uczeń, czy uczennica — przodownik pracy, nie tylko w nauce, ale i w zajęciach praktycznych. Tytuł ten jest zaszczytny, bardzo ceniony przez młodzież.

Pierwsz przodownicy pracy sprzed dwóch lat, a dzisiejsi absolwenci, dzierżą swoje tytuły zwycięsko. Na kursie dla P.O.M.-ów w Karolewcu wybili się na czoło 600-osobowej grupy z całej Polski jako przodownicy, tak w wiadomościach naukowych, jak i pracy fizycznej. Siędmio z tytułami przodowników zostało skierowanych na wyższe studia. Kilku ze szkolnych przodowników, po miesiącu pracy w PGR-ach objęło kierownicze stanowiska.

Nowa moralność i socjalistyczny stosunek młodzieży, szczególnie klasy maturalskiej — do pracy i gospodarstwa liceum był tak silny, że właściwie nie wiadomo w tej chwili, kto więcej czuwał nad całością gospodarstwa — nauczyciele, czy młodzież.

Dowiedziałem się od stróża nocnego, że niektórzy z młodzieży polecali mu, aby ich budził w każdej chwili, jeżeli jądzie potrzeba. Byli tacy, którzy idąc spać obchodzili całe zabudowania liceum, sprawdzali całość gospodarstwa, pytali stróża — czy wszystko w porządku i dopiero wtedy kładli się spać.

Na szczególne wyróżnienie zasługują, absolwent Przybylski Stanisław, który z własnej chęci stał się niejako nieoficjalnym opiekunem gospodarstwa Liceum.

Młodzież chętnie idzie na nowatorstwo, ceni doświadczenia i dlatego na nie przydadzą się opowiadania i wykłady z dziedziny tak agrobiologii jak i zootechniki. Jeśli nie poprze się ich przykładami, jak to czynione jest w Związku Radzieckim. Materializm dydaktyczny i gubny werbalizm muszą ustąpić — jak mówi Kisrow — ze szkół. Szkolnictwo rolnicze musi się orzecz na wykształceniu politechnicznym, stosowanym w Związku Radzieckim.

Gospodarstwo szkolne, uprawa roli, nawożenie, siew, hodowla nie mogą iść starwini torami. Gospodarstwo szkolne musi być postępowe, musi przyjmować najnowsze zdobycze naukowe, stosować je, doświadczać.

Wtedy młodzież zabawi się do pracy zdobywając praktyczną wiedzę i przygotowanie do objęcia kierowniczych ról w socjalistycznym gospodarstwie rolnym.

Dziś na progno nowego roku szkolnego, nauczycielstwo Liceum Rolniczego w Dąbrowie Zduńskiej analizuje raz jeszcze całoroczny dorobek, poddaje go krytyce i samokrytyce. szuka dróg na rok nowy, aby jak najwięcej uaktywnić i uspołecnić młodzież.

Tylko praca i to nowa, wciąż nowa i twórcza praca, nowe zdobycze i osiągnięcia, mogą gwarantować postęp i rozwój szkoły. Tylko wtedy można mówić o włączeniu się szkoły w walkę, jaką podjął Naród, przystępując do realizacji Planu Sześciolletniego, Planu Pokoju.

Jan Marszałek

Marian Minias



Szkola wiejska we wsi Wosień k/Lubania.

STANISŁAW ORZEŁ

# CHŁOP CZY ROBOTNIK

(Z materiałów do powieści „Pierwsze zwycięstwo“)

Pamiętam ją z czasów, gdy były wsią dosłownie zabita deskami. Nędzna ziemia, nędzne chaty, nędza i głód na przednówku u ludzi. Tylko puszcza jodłowa gór świętokrzyskich cieszyła oko, tylko lasy okoliczne ciągnęły latem dzieci na jagody, jesienią na grzyby.

Żył wśród ludzi wieść dawna, że ongiś kopano tu rudę żelazną. Wiedział o niej rząd i dlatego w latach 1923-24 państwowa komisja geologiczna przeprowadziła szczegółowe rzekomo badania. Dokonało wiercenia, sporządzono plany...

Komisja orzekła, że złoża syderytu jeżeli nie są wyczerpane, to w każdym razie minimalne, nieregularne, pomieszane z hematytym, niewarte wydobycia — nieopłacalne.

„Wystarczające“, miarodajne — orzeczenie ludzi uczonych, znawców, było jednak jednocześnie przykładem pochopności, przykładem niedokładnej pracy i spychania nałożonego na komisję obowiązku.

— To co było nieopłacalne dla państwa, stało się źródłem zysku i wycisku dla szukających łatwego sposobu wzbogacenia się drobnych, prywatnych przedsiębiorstw.

Pojawili się posiadacze drobnych kapitałów i rozpoczęli dziką gospodarkę.

Spółką odkrywkową wydobytą syderyt, odstawił go furmankami do Starachowic lub Ostrowca. Hematyt kupowały kopalnie soli do produkcji trwałego żelazowego barwnika do barwienia soli bydlęcej, aby uniemożliwić spekulację pasywnym kupcom, którzy zakupując po groszowych cenach sól bydlęcą, sortowali ją w swoich składach i sprzedawali jako sól jadalną po monopolowych cenach z niekontrolowanym przez monopol solny zyskiem.

Zakłady Starachowickie, znając orzeczenie państwowej Komisji z 1924 r. zasobach rudy nie były zainteresowane w jej wydobyciu.

A tymczasem przynosiły szczęście, przekleństwo lub lzy narazie drobnym hiemom kapitalizmu. W gorączkowej bezplanowej pogoni za zyskiem szybko topniały kapitały ludzi mało lub zupełnie niefachowych, najczęściej byłych sztygarów, techników itp.

Prace nad eksploatacją pokładów syderytu czy hematytu często kończyły się na paru tonach wydobytej rudy. Czasami napatykano na skałę pionną i przerywano rozpoczętą pracę, poszukując rudy w innym miejscu z mniejszym lub większym skutkiem. Odstudzili niedoszli potentaci z pustą, zbyt wcześnie przygotowaną sakwą, wymykając się niezgodnie nocą przed dłużnikami — miejscową biedotą wiejską, dla której nie wystarczyło już na oplatę pracy. Zajmowali ich miejsce inni, pociągani chęcią zysku.

Grupa drobnych kapitalistów z P., na czele zawiązała spółkę. Użytkując Państwa zezwolenie na wydobycie syderytu i hematytu i rozpoczęła znów budowę pałacu nadziei wznieszonego tanimi rękami zabiedzkiego chłopca.

Na hałdach gromadzili się stopy wydobytego syderytu i hematytu, jednak ku rozpaczy właścicieli — nie było nabywców. Przy wydobyciu syderytu natrafiono tymczasem na skałę o złotawym połysku, poprzerałaną i pomieszaną miejscami z syderitem. Wydobytą ją na powierzchni, budowano z niej drogi i fundamenty pod nasyp budującej się kolejki. Nikt nie zwracał uwagi na dziwnie ciężkie bryły kamienia, które po pewnym czasie pod działaniem wody zerały żelazne szyny, niszcząc je prawie zupełnie. Członkom spółki zagroziła katastrofa.

Uratawali ich wkrótce i uwolnił od strachu strat i nadziei zysków inżynier-mechanik Rer. Ten posiadał najwięcej sprytu i najmniej skrupułów na drodze do wzbogacenia się. Przystąpił do spółki po zbadaniu przez koleżkę chemika tajemniczej żrącej żelazo skały.

Wiedział Rer, co znalazł. W pokładach rudy żelaznej znajdowały się złoża cennego pirytu, tak nieopatrnie wyrzuczonego na budowę drogi. Wiedział doskonale nowy dyrektor, że przejęta dzierżawa opiewała tylko na wydobycie syderytu i hematytu, dlatego też rozpoczął z całym rozmysłem dziką, dewastacyjną gospodarkę. Żadnych inwestycji, żadnych ulepszeń, żadnych zabezpieczeń dla ludzi pracy.

Byłe przedzie, byłe więcej i taniej.

Jałowe ziemie chłopie kupował lub wydzierzał, bił szyby pionowe i rył w różnych kierunkach w poszukiwaniu cennego pirytu. W domu, który dziś jeszcze stoi tuż obok plotu kopalni u starego G. mieściło się biuro. Personel nieliczny, chodziło przecież o jak najniższe wydatki. Całą administracją kierował technik nazywany inżynierem a w czasie nieobecności Rera, dyrektorem. Człowiek grzeszny, gietki i wierny w służbie bezwzględnej Rera. „Inżynier“ Mań... nie śmiał nigdy najmniejszej uwagi wnieść w obecności wszechwładnego gospodarza nowej kopalni.

...W dniu wypłat przed okienkiem kasy stała gromada obdarta — nędzarzy — to robotnicy, chłopcy z okolicznych wsi. Zgrabiałe palce przeliczają wypłatę. Trzydzieści, czterdzieści parę złotych na miesiąc to olbrzymia suma. Na chleb wystarczy. W domu czeka gromada bosych dzieci. A tu łaty iat ubraniowych rozsypują się, buty — były nimi kiedyś przed dwoma a najwyżej trzema miesiącami, nie mogą ukryć brudnych onuc i pokaleczonych stóp. Zakwaszona woda w podziemiu przepala wszystkie, pożera. Nie wystarczy wypłaty — ciężko pracować i ciężko żyć.

A upomnieć się nie wolno. Za każde śmielsze słowo, można stracić pracę. Ludzi w okolicy dość, o zarobek trudno. A dyrektor jest bezwzględny, zimny.

— Przystań się pan głupio uśmiechać i zginać! — krzyczy tupiąc nogą na zdającego sprawozdanie „inżyniera“ Mań... Przyjechał z Warszawy obejrzeć swoją kopalnię.

— Żle jest panie M. Pan, panie, mnie z torbami psući.

Pan, panie za dużo płaci robotnikom. Obniżyc!

— Wyrzucić! Przyjąć nowych!

— Jakże niezadowolony? Co za głupstwa pan plecie, panie M. A do czego policja? Socjalizmu im się zachcewa!

Do więzienia. Wyrzucić! Za dużo pan płaci. Obniżyc!

A kopalnia pracuje dzień i noc na trzy zmiany.

Przedaj, szymbielu, więcej pirytu.

Jeden złoty czterdzieści groszy za osiem godzin dla robotnika nasypującego piryt do wózków na powierzchni, dwa złote czterdzieści dla pracującego pod ziemią.

— Za dużo! Obniżyc!

Kolowrót skrzypi bezustannie. Bez przerwy wyciągają piryt, jadują go na wózki i ciągną kołmi po szynach do stacji.

Biedna torba dyrektorska, pomawiana o pustkę, pęcznieje. Nikt jej nie kontroluje. O jej rocznej wartości mogą nam dać pojęcie zyski wykazane przez zarząd państwowy po upaństwowieniu kopalni w 1933 r.

Około 800 tys. zł rocznie czyste go dochodu po uwzględnieniu koniecznych dość szerokich inwestycji.

— Dość nędzy i pracy za darmo!

— Nie rozejdziemy się bez podwyżki. Nie ustąpimy. Lizoniów nie brak. Za ciche groszowe obietniczki garstka odszczepieńców na czele z Mań, namówią do powrotu do pracy.

— Nie! — Na takich wywieść z kopalni slugusa. M., fałszywy inżynier! ucieka ostrzeliwując się. Jęk rannych stawia na nogi najbardziej niepewnych.

Dwa tygodnie zmagania. Dwa tygodnie siedzenia na kopalni. Kobiety przynoszą codziennie obiady.

Kordony policji otaczają kopalnię, próbują prowokacji.

— Chleba nie mamy — krzyczą do nich kobiety — Dajcie chleba naszym chłopom!

Jest maj. Pola szumią falami obiecujących zbóż. Granatowe bory wygrzewają się na zboczach gór, roniać, woniące kropki żywicy. Nocami mrugają światła więzienia świętokrzyskiego.

Nie straszają jednak już dziś tych nowych chłopo-robotników.

Gdy niektórzy muszą odejść do domu, wymykają się z nimi młodzieńcy, pukając do chat, do okien.

— Chodźcie na kopalnię, musi nas być dużo.

Nie ma niezdecydowanych. Trzeba wytrwać. Trzeba zwyciężyć.

Wszechwładny dyrektor ustępuje wreszcie.

Pierwsze zwycięstwo!

Znów skrzypi kolowrót. Znów drży ziemia od strzałów pod ziemią. Podwojono stawki. Zwycięstwo. Teraz już wiedzą jak należy prosić panów Rerów.

Za wspólną sprawę tracą niektórzy pracę, idą nawet do więzienia. Lecz teraz ma ich już kto zastąpić!

W październiku 1937 r. państwo przejmie kopalnię. Krótko trwa nikiła nadzieja na nową podwyżkę. Zjawiają się nowi organizatorzy i rozbijają jedności robotniczej Nawołują, namawiają do szeregów OZN-u.

— Dwa procent podwyżki, wola z triumfem dyrektora do zgromadzonych robotników.

— Niech żyje rząd Rzeczypospolitej, dodaje dla zachęty.

Milczą usmolone postacie.

— Sami sobie podwyższymy, odzyska się w ciszy głos.

Diabło skromne były wynagrodzenia dyrektora. Obniżyc robotnikom! Obniżyc pracę!

Drogami, ścieżkami idą, idą z okolicznych wsi w pogodzie czy deszcz robotnicy na swoją zmianę. W kieszeni sterczy kawał suchego chleba. Po drabinach znikają pod ziemią, gdzie, stojąc często po kolana w zakwaszonej wodzie wiercą otwory strzałowe, ładują na wózki mokre iły hematytu, syderytu i ten straszny, siarką cuchnący piryt. W bocznicach duszno i upał nieznośny, bo miał pirytowy pod ciśnieniem nagrzewa się, grozi zapaleniem. Wziewy niszczą zdrowie. Wentylacja słaba lub żadna, na urządzenia ochronne szkoda pieniędzy.

Trzydzieści złotych miesięcznie! Trzydzieści złotych to wielki zarobek!

Wypadki na kopalni są częste. Odchodzi kalecy niepotrzebni już i nie umiejący się upominać o swoją krzywdę, o odszkodowanie.

Chłop jednak staje się powoli robotnikiem, przemienia się w górnik. Nikt go nie uczył górnictwa. Uczą się sami — jeden od drugiego, a potem już każdy swoje błędy poprawia, ulepsza metodę pracy.

Ta nowa praca staje się im bliższą. Czują jednak krzywdę, pojmują powoli wyższy. Strach przed utratą pracy, zrodzony z biedy, mija. Gromada około siedmiuset robotników daje im nowa, nieznaną dotąd siłę. Reszty dokonują ludzie, nie mogący spokojnie i trzeźwo na spieniężony ludzki pot. Trudno o właściwą organizację, bo fałszywy prawdy jest wielu. Przedstawiciele ZZZ narzucają się robotnikom na przewodników i pośredników. Poznają się jednak na nich szybko. Tacy opiekunowie, po przepiętej nocy w zarządzie kopalni, rozkładają nazajutrz ręce przed robotnikami, wzruszają beładnie ramionami:

— Nie da się uzyskać podwyżki. Pracujcie na razie. Czekać.



Rys. Stefan Gierowski

cji i wydatków na wykup ziemi (za ok. 90.000 zł).

Diabło skromne były wynagrodzenia dyrektora. Obniżyc robotnikom! Obniżyc pracę!

Drogami, ścieżkami idą, idą z okolicznych wsi w pogodzie czy deszcz robotnicy na swoją zmianę. W kieszeni sterczy kawał suchego chleba. Po drabinach znikają pod ziemią, gdzie, stojąc często po kolana w zakwaszonej wodzie wiercą otwory strzałowe, ładują na wózki mokre iły hematytu, syderytu i ten straszny, siarką cuchnący piryt. W bocznicach duszno i upał nieznośny, bo miał pirytowy pod ciśnieniem nagrzewa się, grozi zapaleniem. Wziewy niszczą zdrowie. Wentylacja słaba lub żadna, na urządzenia ochronne szkoda pieniędzy.

Trzydzieści złotych miesięcznie! Trzydzieści złotych to wielki zarobek!

Wypadki na kopalni są częste. Odchodzi kalecy niepotrzebni już i nie umiejący się upominać o swoją krzywdę, o odszkodowanie.

Chłop jednak staje się powoli robotnikiem, przemienia się w górnik. Nikt go nie uczył górnictwa. Uczą się sami — jeden od drugiego, a potem już każdy swoje błędy poprawia, ulepsza metodę pracy.

Ta nowa praca staje się im bliższą. Czują jednak krzywdę, pojmują powoli wyższy. Strach przed utratą pracy, zrodzony z biedy, mija. Gromada około siedmiuset robotników daje im nowa, nieznaną dotąd siłę. Reszty dokonują ludzie, nie mogący spokojnie i trzeźwo na spieniężony ludzki pot. Trudno o właściwą organizację, bo fałszywy prawdy jest wielu. Przedstawiciele ZZZ narzucają się robotnikom na przewodników i pośredników. Poznają się jednak na nich szybko. Tacy opiekunowie, po przepiętej nocy w zarządzie kopalni, rozkładają nazajutrz ręce przed robotnikami, wzruszają beładnie ramionami:

— Nie da się uzyskać podwyżki. Pracujcie na razie. Czekać.

Jednocześnie w tajemnicy jadą do Warszawy robotnicy, którymi policja często opiekuje się gorliwie. Przywożą zaszyte w kołnierzach wezwania KPP.

— Precz z wyższymi! Dosyć żerowania na naszej pracy.

...W gabinecie dyrektora Rera w Warszawie dzwoni telefon.

Dyrektor zaciąga się jeszcze raz wonnym cygarem.

— To na pewno znów spotkanie w Bristolu wieczorem, śmieje się do wiotkiej sekretarki.

— Ha il. o. o. o. Co? Pan Mań? Strajk w kopalni? Żądają podwyżki? Głupiec! Nie dawać! Nie ustępować. A policja, to pies? Aresztować przewodników! A to chamstwo! Chleb ich rozpieca. Nie ustępować. Nie pozwalam!

...Plac kopalni zalegają tłumy. Umazani błotem hematytu, z zacierzonymi oczami, wylażą z sztywów twardzi, zdecydowani.

— Dość nędzy i pracy za darmo!

— Nie rozejdziemy się bez podwyżki. Nie ustąpimy. Lizoniów nie brak. Za ciche groszowe obietniczki garstka odszczepieńców na czele z Mań, namówią do powrotu do pracy.

— Nie! — Na takich wywieść z kopalni slugusa. M., fałszywy inżynier! ucieka ostrzeliwując się. Jęk rannych stawia na nogi najbardziej niepewnych.

Dwa tygodnie zmagania. Dwa tygodnie siedzenia na kopalni. Kobiety przynoszą codziennie obiady.

Kordony policji otaczają kopalnię, próbują prowokacji.

— Chleba nie mamy — krzyczą do nich kobiety — Dajcie chleba naszym chłopom!

Jest maj. Pola szumią falami obiecujących zbóż. Granatowe bory wygrzewają się na zboczach gór, roniać, woniące kropki żywicy. Nocami mrugają światła więzienia świętokrzyskiego.

Nie straszają jednak już dziś tych nowych chłopo-robotników.

Gdy niektórzy muszą odejść do domu, wymykają się z nimi młodzieńcy, pukając do chat, do okien.

— Chodźcie na kopalnię, musi nas być dużo.

Nie ma niezdecydowanych. Trzeba wytrwać. Trzeba zwyciężyć.

Wszechwładny dyrektor ustępuje wreszcie.

Pierwsze zwycięstwo!

Znów skrzypi kolowrót. Znów drży ziemia od strzałów pod ziemią. Podwojono stawki. Zwycięstwo. Teraz już wiedzą jak należy prosić panów Rerów.

Za wspólną sprawę tracą niektórzy pracę, idą nawet do więzienia. Lecz teraz ma ich już kto zastąpić!

W październiku 1937 r. państwo przejmie kopalnię. Krótko trwa nikiła nadzieja na nową podwyżkę. Zjawiają się nowi organizatorzy i rozbijają jedności robotniczej Nawołują, namawiają do szeregów OZN-u.

— Dwa procent podwyżki, wola z triumfem dyrektora do zgromadzonych robotników.

— Niech żyje rząd Rzeczypospolitej, dodaje dla zachęty.

Milczą usmolone postacie.

— Sami sobie podwyższymy, odzyska się w ciszy głos.

Diabło skromne były wynagrodzenia dyrektora. Obniżyc robotnikom! Obniżyc pracę!

Drogami, ścieżkami idą, idą z okolicznych wsi w pogodzie czy deszcz robotnicy na swoją zmianę. W kieszeni sterczy kawał suchego chleba. Po drabinach znikają pod ziemią, gdzie, stojąc często po kolana w zakwaszonej wodzie wiercą otwory strzałowe, ładują na wózki mokre iły hematytu, syderytu i ten straszny, siarką cuchnący piryt. W bocznicach duszno i upał nieznośny, bo miał pirytowy pod ciśnieniem nagrzewa się, grozi zapaleniem. Wziewy niszczą zdrowie. Wentylacja słaba lub żadna, na urządzenia ochronne szkoda pieniędzy.

Trzydzieści złotych miesięcznie! Trzydzieści złotych to wielki zarobek!

Wypadki na kopalni są częste. Odchodzi kalecy niepotrzebni już i nie umiejący się upominać o swoją krzywdę, o odszkodowanie.

Chłop jednak staje się powoli robotnikiem, przemienia się w górnik. Nikt go nie uczył górnictwa. Uczą się sami — jeden od drugiego, a potem już każdy swoje błędy poprawia, ulepsza metodę pracy.

Ta nowa praca staje się im bliższą. Czują jednak krzywdę, pojmują powoli wyższy. Strach przed utratą pracy, zrodzony z biedy, mija. Gromada około siedmiuset robotników daje im nowa, nieznaną dotąd siłę. Reszty dokonują ludzie, nie mogący spokojnie i trzeźwo na spieniężony ludzki pot. Trudno o właściwą organizację, bo fałszywy prawdy jest wielu. Przedstawiciele ZZZ narzucają się robotnikom na przewodników i pośredników. Poznają się jednak na nich szybko. Tacy opiekunowie, po przepiętej nocy w zarządzie kopalni, rozkładają nazajutrz ręce przed robotnikami, wzruszają beładnie ramionami:

— Nie da się uzyskać podwyżki. Pracujcie na razie. Czekać.

— Nie da się uzyskać podwyżki. Pracujcie na razie. Czekać.

— Nie da się uzyskać podwyżki. Pracujcie na razie. Czekać.

— Nie da się uzyskać podwyżki. Pracujcie na razie. Czekać.

— Nie da się uzyskać podwyżki. Pracujcie na razie. Czekać.

— Dyrektorze, mówi węsąty górnik, rozsądźcie. Kiełek płotu nie chce postawić i kury jęczmień mi rozdrapują.

— Twarz dyrektora spokojna, choć śmiać mu się chce jak i mnie.

— Zlitujcie się, Józefie, przecież to nie są sprawy kopalni, co wam poradzę.

— Powiedzieć mu dyrektorze, aby płot postawił, usłucha Was, usłucha. Razem tu już 15 lat pracu-



Rys. Stefan Gierowski

jemy z wami. Usłucha was na pewno. Dyrektor obiecuje powiedzieć.

Syrena zapowiada koniec pracy pierwszej zmiany. Zaroiło się na placu kopalni. A przed bramą czeka już prawie tysięczna gromada — druga zmiana, w nocy przyjdzie trzecia.

Idą krepę, zuchowate postacie starych i młodych w ochronnych, kwasoodpornych, welnianych ubraniach, w gumowych butach, w chelałach górniczych, z lampami karbidowymi w ręku. To wszystko mają za darmo. Gdy ubranie lub buty zniszczą się, otrzymuje górnik nowe. Państwo ludowe dba o swoich ludzi.

Tamte czasy prywatnej kopalni, własnych łachmanów, ciągłych kło-

Józef Ziemia

## O pierwsze miejsce w Polsce

Staliśmy koło grubej, przysadzistej betoniarce. Koło zaciekle hurgotającego, rozdrabniającego żwir na maczkę, mieszającego go następnie z cementem. Rozmawialiśmy z dziennikarzem jakiejś krakowskiej gazety. Trzeba było krzyczeć, ażeby mógł ten starszy, spocyny i ruchliwy jegomość coś usłyszeć.

Zespół, zespół, grunt proszę Obywatela dziennikarza to zespół — referował sprawę Benek — tu następuje podział pracy, wyrabia się poczucie solidarności, mocniejszy pomoże słabszemu i w rezultacie krzywa na tablicy współzawodnictwa leci w górę. Ale czy wy myślicie, że tylko krzywa produkcji? A krzywa charakterów, obywatelu? Ja tu zostałem sam na drugi turnus, pracowałem podczas pierwszego, to wiecie jak poprzyjeżdżaliśmy to każdy wuj na swój strój, a jak odjeżdżali to kolektyni jak kamień. I zobaczycie, niech tylko tu wprowadzą aktywności wspólzawodnictwo zespołowe, jak się chłopcy wyrabia.

No, a wy mój młody kolego, co sądzicie o zespołach? — dziennikarz zwrócił się do mnie.

Hm, ja tak jak ten kolega mówił, owszem, owszem, to może być wyższa forma współzawodnictwa, ale mnie się zdaje, że raczej współzawodnictwo indywidualne... tu każdy ma większą szansę wybicia się, nie potrzebuje oglądać się na innych... odpowiada sam za siebie... no i wespole trafić się może bumelant, wole raczej współzawodnictwo indywidualne.

Dziennikarz bieluchną chusteczką wytarł okulary i wsadził je z powrotem na zagubiony wśród fałd tuszeczu nos. Popatrzył mi w oczy.

Czy, czy mój młody kolego nie jesteście czasem egoistą?

Hm, osądźcie sami.

No bo wy młody przyjacielu, że się tak wyrażę wielbicie jednostkę. Jednostka się wybiję, jednostka nie potrzebuje się oglądać... bumelant itd. A teraz słuchajcie i myślcie. Wespole gajmy na to X jest kilku kolegów słabszych i kilku mocniejszych, zespół wyrabia 300 proc. normy, jest wyróżniony, przedstawiony do pochwały. Pomysłcie, jaki to ma wpływ na owoch kolegów słabszych? Dodaje im pewności siebie, poczucia, że coś znaczą, bodźca do pracy, zapędu. Teraz druga strona medalu. Kolega X wyrabia mimo dużego nakładu pracy zaledwie 80 proc. normy, dużo pracuje, ale ma niewielkie zdolności, a kolega Y mniej pracując wyrabia 400 proc. normy, w dwuosobowym zespole by mieli 240 proc. Rezultat: kolega X jest przekonany o swojej niższości, niedołęstwie, traci zapęd do pracy. Poza tym to niepowiązanie się z in-

potów, strachu przed redukcją, wspominają jak zmore.

Szum maszyn w sortowni, świst lokomotywy waskotorowej kolejki słychać z okna pokoju, gdzie rogościliśmy się już na dobre w obrębie kopalni. Czuję się jak u siebie. Dudnią koła lokomotywy ciągnącej wagoniki pełne cennego pirytu. Suną zakrętami przez wzgórze do stacji ocienionej strzelistymi, pachnącymi żywica jodami, aby stąd drugą zmianą, silniejszych już lokomotyw wyruszyć dalej.

W spółdzielni mieszczącej się na dole (mieszkałam na piętrze) jest wszystko, a przede wszystkim jest pełno. To żony górników, dawne zabiedzone kobietki z okolicznych wsi, zaopatrują w rozmaite artykuły — wczoraj była wypłata.

Obok szkoła podstawowa, dalej przedszkole. Osiemdziesiąt dzieci robotników spędza tu pod opieką dwóch przedszkolek całe przedpołudnie.

Ciasno trochę, ale bloki na wzgórze rosną — będzie dosyć miejsca i dla dzieci i rodzin robotniczych.

Wieczorem dyrektor zaprasza mnie do szkoły na egzamin analfabetów. A w świetlicy, która mieści się w obrębie kopalni dokształcają się inni.

Nocą widać na drogach i ścieżkach ruchome światła. Rozdzielają się, rozsiewają po polach i nikią na zakrętach, za wzgórzami w cieniu nocnej. To druga zmiana wraca do domu. 95 proc. górników to ludzie tutejsi, ze wsi.

Nie mogę się doczekać zejścia pod ziemię, do kopalni. Inżynier Owczarek, któremu zawdzięczam poznanie dziejów kopalni w świetle dat, cyfr i bogactw rud, daje mi ostatnie objaśnienia. Zastrzegam się, że będzie opowiadał o rzeczach „suchych“, a tymczasem ozywał martwe wnętrza ziemi tak, że nawet ja, laik, słuchałem jak urzeczony.

Schodzimy z młodym sztygarem na co raz to niższe poziomy po drabinie — pochylnią tj. głównym wejściem, którym schodzą górnicy.

Na sobie mam welniane ubranie, na nogach gumowe buty, hełm górniczy i kapelusz z dużym rondem z tyłu, no i obowiązkowo lampę.



Fragment Nowej Huty

kolega miał rację a nie wy. Zresztą sami się przekonacie. Ile czasu jesteście już w brygadzie?

Cztery dni proszę obywatela dziennikarza.

Ach tak, no to może przy końcu turnusu porozmawiamy, na razie nie jesteście zorientowani w tych sprawach, ale przemyslcie sobie do końca to zagadnienie.

Z dziennikarzem rozmawiałem w pierwszych dniach turnusu — jak już wiecie. Kiedy piszę ów artykuł turnus dobiega końca. Nie tylko teoretycznie wywoody dziennikarza mogą przekonać o wyższości współzawodnictwa zespołowego nad indywidualnym, ale i same fakty. Kiedy współzawodniczyliśmy w początkach indywidualnie, średnia brygady wynosiła około 150 proc. Były wypadki bumelantów, widziałem zniechęconych kolegów. Po wprowadzeniu form współzawodnictwa zespołowego brygada osiągnęła wspólny poziom produkcji — około 250 proc., pluton III (Korpus III) podzielony na zespoły i zespołiki osiągnął dnia 7.VIII 539 proc. normy. Produkcję zespoły 44 Ochotniczej Brygady

Witano nas wszędzie starym — „Szczęść Boże“.

Wszędzie, na wszystkich poziomach wrzasa praca. Słychać było warkot i stukot świrdów powietrznych, huk strzałów, ryk powietrza, czasem szum pompowanej wody, łomot kilofów i hurgot wózków po szynach. Zdziwiłem się głośno, że sztygar nie robi nikomu uwag, bo przecież dawniej...

— Tak, tak przerywa mi sztygar, dawniej pedzili, pilnowali. Dzisiaj wcale nam to tutaj niepotrzebne. Górnik pracuje chętnie, wie, że dla siebie pracuje. Wcale się nie chwalamy, zaraz pan zobaczy — nowy chodnik. Plan przewiduje jego budowę za cztery miesiące a nasi górnicy ukończą go w dwóch. A praca wcale nie lekka, raz ily, hematyt, to znów syderyt lub piryt a czasem ploska ściana, na której świrdy pływają jak kawalki szkła. Normy nikt nie wyrabia.

— Jak to, dziwię się.

A no tak, każdy wyrabia ponad normę przewidzianą. Przewodnik u nas nie brak, a nowi rodzą się w kopalni prawie codziennie. Ten, który opóźni się w pracy, sam dogania innych, nie trzeba go popedzać, przypominać.

— Każdy robotnik u nas to po części inżynier, przypominał sobie słowa inż. Owczarka.

Tak, stwierdzam to w podziemiu. Piryt nie wszędzie występuje regularnie w czystej postaci, w jednolitej formie. Górnicy rozpoznają rudy doskonale, sortują je przecież od razu na miejscu zanim przejdzie do sortowni na powierzchnię.

Rozmawiamy ze starym górnikiem.

— Bez kopalni już żyć nie umiałbym — tłumaczy mi. Pracuję tu od 1934 r. i po wojnie ani razu się nie spoźniłem i czw wiecie dlaczego? — Ciągnie człowieka z chaluży, że uszkieł nie można. Brałem się całe życie w tych dwóch morgach i nijakiego zadowolenia człowiek nie miał. A tu — wiem, że robię... Kiedy po sześciu godzinach wyszliśmy na powierzchnię był wieczór.

W oddali błyskały światła lamp zdających na nocną zmianę chłopów - robotników — nowych ludzi. Nowych Czasów.

Stanisław Orzeł

ZMP są następujące: zespoły Karnego, Stasiaka, Kolińskiego, Muzelskiego, Mroza i Jaswiskiego dociegają do 1400 proc. normy, zespół kolegi Chibowskiego w składzie: Chibowski, Jemiola, Mostejczuk, Kowalewski, Augustyni i Kogorski osiągają 1000 proc. normy, oraz masa zespołów i zespołików, mających na swoim koncie 900 proc., 800 proc. itd. U nas nie ma jednaków, którzyby wyrabiali 100 proc. Tacy byliby chyba uważani przez kolegów za bumelantów. Rodzący się często w ogniu walki starych przyzwyczajeni z tym co nowe, socjalistyczny stosunek do pracy zapewnił nam produkujące miejsce w Polsce. Przew. Zarządu ZMP kol. Szpitalniak, witać nasz turnus powiedział: „I-szy turnus 44 ochotniczej brygady ZMP zajął 8 miejsce — wy postarajcie się zająć lepsze.“ Skandowaliście z tysięcy młodych pierś: wy-ko-na-my, wy-ko-na-my! Obecnie „chodzą słuchy“, że nasza brygada ma zająć pierwsze miejsce w Polsce.

Czy wiecie u kogo zauważyłem, jeśli nie największy to przynajmniej potężny, zapęd do pracy? Powiecie: u ZMP-owca wyrobionego politycznie, świadomego służności naszej sprawie, wiedzącego co znaczy obiekt „Nowa Huta“. Kolega mój Tadek M. jest synem biednej wdowy z lubelskiego, byłym kułackim parobkiem, Parobek, a więc jasne, mało świadomym. Na pierśi Tadeka błyszczy złoty medal. Zaszczętnie wyróżnienie w wysiłku pracy. Niedawno w „Pol-Wychu“ Tadek chwalony przez instruktora i stawiany za przykład rzeki: w „cywilu“ pracowałem jako parobek u jednego tam. Od usch

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

## W SPRAWIE KADR LITERACKICH

Stan literatury mieszczańskiej można zobrazować następująco. Z jednej strony szczupła, jak najbardziej ograniczona warstwa czytelników, łowców wrażeń i emocji artystycznych. Z nią związana literatura, do znużenia wałkująca i przeżywająca te same problemy, kłopoty garstki dekadentki elity inteligencji, odwrane od szerszego życia. Z drugiej strony, a raczej wokół tej wyspy, użnianej własnymi sokami, rozciąga się rozległa, dzwiczca przestrzeń życia milionów ludzi, ich pracy i walki. Dla odizolowanego, mieszczańskiego artysty życie to stanowiło przestrzeń mroczną i pełną ciemnych żywiołów. W życiu tym istniały problemy palące i wyraziste, dojrzała świadomość społeczna. Miliony ludzi walczyło o rzeczy konkretne i podstawowe dla ich życia. Tworzyło literaturę faktów społecznej walki, której nie miał kto przelewać na papier.

Ci ludzie walczyli serlo i uparcie, oraz ich sprawy, ich sprawiedliwe postulaty, zwyciężyły, stworzyły podstawy pod budowę zupełnie nowego życia, ustroju, w którym zadna energia nie zmarnuje się i nie będzie użyta, jako siła zniszczenia i ucisku.

Naród nasz przeszedł przełom, o którym marzą, umierali w bezradnej, zdawało by się walce, tyśiące bojowników postępu. W tym ustroju prawdziwym bohaterstwem jest praca twórcza na każdym, najmniejszym odcinku, stwarzająca podstawy do dobrobytu powszechnego, szczęścia dla wszystkich, szczęścia rozumianego w jak najbardziej dostojnym znaczeniu tego słowa. Pracy tej dokonują z rosnącym entuzjazmem miliony ludzi, którzy tak często musieli dawniej o nią walczyć. Jako owoce tej pracy, rosną nie tylko pojedyncze domy, ale całe miasta i osiedla, rosną — życie dzisiejsze samo stwarza metafory.

Tym ogromnym dokonaniem, które stwarza każdy, dzisiejszy dzień, towarzyszy cicha, ale zacietliwa walka. Pozostali bowiem po przełomie siły zle i bezwzględne, które za wszelką cenę nie chcą kapitulować, dopuścić do pełnego ugruntuowania się zdobyczy przełomu w naszym życiu społecznym.

Szerokie pole do popisu powstało przed nową, wyzwoloną z salono- wych kompleksów literaturą. Czy wyzwolona? To jest właśnie pytanie. Elitarne nawyki, inteligentno - mieszczańskie tradycje, przetrwały w życiu literackim przełom społeczny i gospodarczy. Okazały się silniejsze nawet od osobistych przekonań politycznych twórców. Trudno zaprzeczyć najlepszym intencjom większości z nich. Oni rozumieją, że trzeba tworzyć inaczej, że wielka, niekietniana, zaniedbana przez nich dawniej dziedzina społeczna, parastająca nowym życiem, leży odgięta. Oni to rozumieją, ale nie tak łatwo jest im, według określenia jednego z czołowych publicystów, „zabić w sobie mieszczaucha“.

Pisarz najlepiej może mówić w swych dziełach, o tym, co najlepiej zna. Aby stworzyć pełne podstawy pod socjalistyczną literaturę, należy stworzyć nowych pisarzy, wychodzących z klasy proletariackiej. Należy ich kształcić, aby mogli powiedzieć również najlepiej artystycznie. Nie zaniebując wykończenia starej generacji literackiej, należy dać szeroki dopływ nowym kadrom.

Oczywiście zdają sobie z tego sprawę czynnik, organizujące nasze życie kulturalne, postulaty te wysuwane są już od dawna. Nikie rezultaty tej kampanii przekonują, że i o kadry literackie trzeba walczyć.

Jak wyglądała opieka nad młodzieżą literacką z klasy robotniczej i chłopskiej, w ostatnich latach? Próby wydobycia na powierzchnię literackich samouków proletariackich, rozbiły się o dziwną obojętność z tej własnej strony, z której powinna i mogła przysięść jak największą pomoc. W środowiskach literackich żyły nadal stare, koteryjne nawyki. Literat uzwał się nadal za człowieka elity, któremu przystoi snobistyczne odosobnienie. Poza twórczością wystarczały mu personalne i profesjonalne kontakty, zainteresowania, nie wybiegające poza środowisko literackie. Te koleżeńskie sprawy, grzesności, a często osobiste porachunki, wychodziły na zewnątrz i zajmowały wiele sznalt literackiej prasy. Literaci pisali o literatach i oczywiście dla literatów, bo tylko ci mogli być odbiorcami takich ciekawostek. Dotyczy to zwłaszcza publicystyki literackiej.

Odpychający i pogardliwy stosunek pisarzy i redakcji pism literackich do początkujących pisarzy ze środowiska proletariackiego widać w nich poczucie małych możliwości, które nigdy nie pozwala im na prawdziwy awans literacki. Nikomu nie przyszło do głowy, aby zająć do klasowych przyczyn ich powolnego rozwoju. Odrędzano się od tych spraw pogardliwym określeniem grafomanii, rozumianej wyłącznie, jako nieuleczalna niezdołność do opanowania techniki pisarskiej.

Oddalony od literackich środowisk, chłopski czy robotniczy samouk literacki, nie miał prawie żadnych możliwości rozwoju i

awansu. Oddalenia tego nie trzeba rozumieć przez odległość topograficzną. Można było mieszkać w Warszawie, lub Łodzi, a odległość ta nie ulegała zmniejszeniu.

Każdy wysiłek trafiał w próżnię. Rękopisy ginęły w przełajach redakcyjnych kosztów, bez słowa odpowiedzi. Jeśli nawet udało się komu na skutek anonimowości zdobyć nagrodę, w jakimś konkursie literackim, to i tak utwór początkującego nie trafiał do druku.

Poważne pisma literackie nie zajmowały się oceną utworów początkujących, nie miały zaufania, nie wierzyły w możliwości twórcze proletariackich samouków. Pisma popularne zaczęły wyręczać prasę literacką na swój niefachowy sposób. Wiele z tych pism do dziś jeszcze hoduje i upowszechnia literacką słabiznę, bez należytego poradnictwa i krytyki. Dotyczy to w szczególności poezji i inscenizacji użytkowych dla świetlic wiejskich i miejskich.

Odosobnione próby stałego poradnictwa w tej dziedzinie, jak poradnictwo Oddziału Wiejskiego ZZLP, nie odegrały większej roli z powodu nienależytej organizacji i złego kierunku ideologicznego.

W okresie powojennym przybyło wiele młodych sił literackich, ale

tu znów powtórzyło się zjawisko inteligentnego samozapładniania, znówu „pan pana rodzil“. Na ogólną liczbę, około 50 młodych pisarzy zaproszonych na zjazd do Nieborowa w 1948 r., zaledwie kilku (około 7 osób), było pochodzących ze środowiska chłopsko-robotniczego.

Tradycja literacka i kulturalna jest dorobkiem, którego nie można lekceważyć. Opanowanie jej jest trudne dla samouka, który skłonny jest do utknięcia w pierwszej, opanowanej jako tako, starej konwencji literackiej.

To jest trudne, ale nie jest nieosiągalne. I tu w pomoc powinno przyjść racjonalne poradnictwo literackie, pomoc i opieka, przechodzące w celowe i systematyczne kształcenie literackie. Powinno ono towarzyszyć pisarzowi już przy pierwszych, nieudolnych krokach.

Dla łatwiejszej selekcji, opieka nad robotniczymi talentami literackimi powinna być zorganizowana hierarchicznie. Przy świetlicach i organizacjach młodzieżowych, powinno istnieć jak już mamy tego dowody i próby, kluby literacko-dyskusyjne, pod opieką literatów związkowych. Powinno się w nich

prowadzić wspólne czytanie i krytyczne omawianie własnych utworów.

Wyróżniający się kandydaci, jako pierwszy stopień awansu, mieliby możliwość przejścia do klubu terenowego. Dalszy awans prowadziłby ich przez klub związkowy do Związku Literatów. Nie należy zapominać, że najlepszą zachętą i bodźcem do dalszych prób twórczych, jest publikacja wyróżniających się utworów. Publikacji nie zastąpi nawet wyróżnienie, czy nagroda konkursowa. Pierwsze publikacje powinny mieć miejsce w powielaczowych biuletynach, wydawanych przez fabryczne kluby literackie. Rolę tę spełniają już w pewnym stopniu gazetki ściennne, które jednak nie mają opieki krytycznej. Wyższym stopniem publikacji byłby druk w piśmie lokalnym lub w specjalnym almanachu młodych, a dalej w prasie literackiej.

Prasa literacka powinna zerwać z dotychczasową zasadą milczenia, w odpowiedzi na przesłane utwory. Trudno, trzeba wprawdzie działy ocen i odpowiedzi listownych. W dziedzinie racjonalnego kształcenia kadr, wielu przykładów

może nam dostarczyć doświadczenie Związku Radzieckiego. Za jego przykładem należało by zorganizować stałe studia literackie, jako wyższą formę kształcenia oraz inne studia pomocnicze.

Zdaje się, że na ostatnim Zjeździe Literatów, powzięto w tym kierunku jakies uchwały, których realizacja na pewno pójdzie teraz we właściwym kierunku. Większe ośrodki robotnicze powinny mieć lokalne pisma literackie, których działalność promieniowałaby na większy okręg. Obecnie wielka Łódź nie posiada literackiego pisma, a przecież miasto to mogło by być wylęgarnią robotniczych talentów. Czas, aby przestali się one marnować. Dla wydobywania bryłki złota trzeba przekopać górę piasku. Z mnogiej liczby literackich adeptów, wyłowi się utalentowane jednostki, z których można będzie wyszkolić nowych pisarzy. Tacy pisarze nie będą się izolować od życia mas, będą w nim tkwić swą twórczością, związani osobistymi i klasowymi z nim węzłami.

Wyszukując i kształcąc nowych pisarzy otoczyć opieką i umożliwić twórczość tym, którzy już zdążyli się wydobyc na powierzchnię, którzy awansują lub zaawansowali już do rangi pisarza. Anna Ka-

mieńska w wierszu o Piotrze Wyrobku mówi: „Piotrze, wieczny samouku — już nie wieczny.“ Tak, przyszła epoka, w której czas skończyć z samoukami. Samouctwo, ten najuczciwszy sposób zdobywania wiedzy, powinno zniknąć w naszym ustroju. Kształcić można również ludzi, którzy już dawniej wyrosli z wieku szkolnego. „Samouk“, jest mianem upodlegającym pisarza, chociaż mu się z ludomianka wmuwia, że jest to tytuł zaszczytny. Na pewno każdy wolalby się powołać na ukończenie studiów uniwersyteckich.

Wyszkolić utalentowanych chłopów i robotników, dać im pióro do ręki, niech piszą. Oni najlepiej potrafią wypiewać walkę i twórcy trud swojej klasy, oni opiszą jej tęsknoty, gdyż sami tymi tęsknotami wzrosli i żyli.

Odnosnie do tych samouków robotniczych i chłopskich, którzy już mogą się wykazać pewnym stażem literackim, należało by ich otoczyć większą opieką, zając się nimi, jako pierwszym szeregiem dojrzewających, lub dojrzałych do awansu. Wielu z nich nie mogło dotychczas awansować, nie mając możliwości publikacji swych prac. Dla przyspieszenia tego awansu, należało by przy którymś z większych wydawnictw, lub przy Związku Literatów, założyć specjalną „Bibliotekę Pisarzy Robotniczych i Chłopskich“, w której ukazywałyby się debiutowe pozycje z poezji i prozy, zaopatrzone w krytyczne omówienie, genezę literacką i biografii autora.

Opłaci się trud kształcenia pisarza, choćby on w życiu napisał tylko jedną, dobrą książkę, bo ona będzie dokumentem literackim tej wagi, że wynagrodzi włożony trud. W tych warunkach nie należy się obawiać zbyt wielkiej liczby pisarzy, a uczyć ich jak mają wydobyc ze swych przeżyć i przeżyć klasy robotniczej wartości najcenniejsze.

Przez rozszerzenie kadr literackich, zniknie typ pisarza indywidualisty, który twórczość traktuje jako sobiepański przywilej osobistego wyżycia literackiego. Pisarz taki będzie rozumiał, że jego twórczość, to nie sprawa osobistego talentu i osobistych ambicji, ale narzędzie walki o postęp społeczny, które samo stanowi społeczną własność.

Omawiając krytycznie dotychczasowe osiągnięcia na polu awansowania robotniczych pisarzy, należy sprawiedliwie stwierdzić pewne pozytywne próby w tym kierunku. Niewątpliwie tu są zasługi Partii, pozytywne działalności wykazują niektóre pisma młodzieżowe. Z poważniejszych pism literackich wiele zrobiła „Więść“, której redakcja okazała się niezmordowana w walce o wychowanie ideologiczne młodych pisarzy i artystyczne pogłębienie ich osiągnięć. Dzięki „Wsi“ doszło do głosu wielu chłopskich i robotniczych samouków.

Bronisław Chęciński

STANISŁAW MEDELSKI

## WIEŚ FRANCUSKA POD OKUPACJĄ

Książka Vladimira Poznera\*) przypomina swoją konstrukcją i pomysłem tematycznym „Teżce“ Wandy Wasilewskiej. Podobnie jak w „Teżce“, w powieści Poznera został ukazany fragment z dzieł jednej wsi pod okupacją niemiecką. Jest to jednak wieś francuska, leżąca na wybrzeżu kanału La Manche. Akcja „Ludzi z jednej wsi“ rozpoczyna się wkrótce po napaści hitlerowców na Związek Radziecki (we Francji w czasie żniw) i trwa dwa dni.

Ze stacjonującego we wsi oddziału wojskowego dezerterskiego żołnierza niemieckiego Hubera. Zalesione hitleryzmem dowództwo jednostki wojskowej dochodzi do wniosku, że „żołnierz niemiecki

nie dezertuje“ i zaczyna podejrzewać mieszkańców francuskiej wsi o morderstwo żołnierza. Mieszkańcy natomiast obawiają się, że Niemcy chcą zarekwirować cały plon żniw — a dezercja żołnierza jest zwykłym kłamliwym pretekstem. Tymczasem dezerterski, przedzierając się w nocy przez nadbrzeżne skały, spada w skalisty parów i zabija się. Hitlerowcy, chociaż wiedzą, że Huber zginął wskutek wypadku — aresztują wszystkich mieszkańców wsi, z nich wybierają dziesięciu zakładników, na czym trzech (wojta, księdza i pauczytelkę) rozstrzelują natychmiast, zapowiadając, że jeżeli do jutra Francuzi nie wskażą im mordercy Hubera, roz-

strzelają następnych. Była to konsekwencja wniosku: „Żołnierz niemiecki nie dezertuje“. Wniosek ten natomiast służył krwawym gestapowcom do realizacji okólnika Himmlera, rozpoczynającego się od słów: „Ważne względy polityczne nie pozwalają nam zadrażniać sytuacji. Jednakże postawa Francuzów...“ itd. A postawa Francuzów przeszła wszelkie oczekiwania gestapowskiej praktyki zastraszania. Nazajutrz Niemcy znajdują swego sierżanta (członka NSDAP) w skalistym parowie z przetrzezoną czaszka. W epilogu czytamy, że bezpośrednio po pogrzebie dezerterskiego Hubera (którego zrobiono na hitlerowskiego bohatera) i sierżanta Jansena — dowódca jednostki, por. v. Klemm dowiaduje się o zniknięciu trzeciego żołnierza. Takie rezultaty przyniosła hitlerowcom gestapowska metoda terroryzowania Francuzów.

Ze środków technicznych, używanych przez Poznera w kształtowaniu materiału powieściowego, na szczególną uwagę zasługuje sztuka postaciowania. Autor nie ogranicza motywacji postępowania i mentalności poszczególnych postaci do przeżyć psychicznych. Sięga on znacznie głębiej i zarówno postępowanie jak i bezpośrednio jego pobudki: przeżycia psychiczne — motywuje układem stosunków społecznych i przynależnością klasową bohaterów. Dzięki temu w „Ludziach z jednej wsi“ reakcje postaci występują wyraźnie jako funkcje układu stosunków społecznych.

Przypatrzmy się chociażby postaciom okupantów niemieckich, których autor ukazuje w ich polityczno-społecznym zróżnicowaniu — a nie jak to się często zdarza jako jednolitą grupę hitlerowców, niczym się od siebie nie różniących. Zalety mamy kilka przykładów tego realistycznego sposobu kreślenia postaci w „Ludziach z jednej wsi“. Dezerterski Huber, wcale nie był przeciwnikiem Hitlera, chociaż był datego, że nie bardzo wierzył o co „führerowi“ chodzi. Zdezertował po prostu datego, że będąc starym, przywiązany do ziemi małopolskim chłopem bawarskim, nie mógł zrozumieć po co jest potrzebny nad kanałem La Manche, jako siła niszcząca dobrobyt ziemi francuskiej, podczas kiedy jego gospodarstwo, pozostawione na łasce losu w Bawarii z każdym dniem zapewne marnieje. Zdezertował bo sądził w swęj (jakże rozbrajającej) prostocie i naiwności, że będzie mógł wrócić na swe zagony i zdążyć jeszcze na żniwa. A zatem chciał pozostać uczciwym człowiekiem pracy, a nie narzędziem niszczenia i gwałtów.

Inaczej ukazana została postać dowódcy jednostki niemieckiej, por. von Klemm'a. Jest to potomek rodziny arystokratycznej, który dzięki protekcji swej ciotki, generałowej von Korwitz, szczęśliwie uniknął udziału w „kampanii wschodniej“. Podczas gdy jego rówieśnicy drżeli w Rosji przed Armią Czerwoną i partyzantami, on spokojnie nudził się nad kanałem La Manche. Człowiek ten, wychowany w tradycji arystokratycznych konwenansów, nie potrafił żyć — potrafił tylko grać; życie traktował tak, jak aktor scenę. Inną kategorię gestapowca reprezentuje Sturmbannführer, Lallmann, w cywilu właściciel domu publicznego w Berlinie, który na zdobycze wojenne Hitlera patrzy pod kątem: „Czy można na Ukrainie dobrze i bezpiecznie ulokować kapitały?“

Wśród postaci Francuzów na szczególną uwagę zasługuje listonosz, członek Komunistycznej Partii Francji. Znajdujący się wśród zakładników, oczekujących na śmierć, potrafi on do ostatniej chwili zachować zimną krew — mało tego, potrafi oddziaływać i

wychowywać współtowarzyszy losu, w myśl maksymy: „życie się kończy po śmierci, a nie przed nią“. W wyniku tej wysoce ludzkiej, humanistycznej postawy listonosza-komunisty, beznogi inwalida z pierwszej wojny światowej dopiero przed śmiercią spotkał człowieka, który go traktował poważnie, jak równego sobie. Dotychczas w ustroju kapitalistycznym uważano beznogiego za pasyżującego kalekę, który nie przedstawia żadnej (prawdopodobnie ekonomicznej) wartości, i z którym nie należy się liczyć.

Mógłby jednak ktoś powiedzieć, że takie kształtowanie działań postaci, jako funkcji stosunków społecznych, nie jest nowością. Odpowiedzią na to będzie fakt, że „Ludzi z jednej wsi“ Pozner pisał w San Francisco w 1942 roku — a w tym czasie było to osiągnięcie dużej miary.

W rezultacie takiej metody artystycznej otrzymaliśmy wartościową powieść realistyczną — powieść, która poza wszystkimi swymi zaletami ideowo-artystycznymi, posiada bardzo ważną zaletę praktyczną: czyta się ją szybko, jak to mówią: „jednym tchem“.

Stanisław Medelski

\*) Vladmir Pozner: „Ludzie z jednej wsi“. Przekład autoryzowany z franc. Jadwigi Olejdzkiej. Wyd. PIW, 1950, str. 221.

Józef Fłek

## Wiejski kolporter

Franciszek Ślusarczyk, przewany „Macietką“ omal nie został zaduszony, gdy przyniósł do wsi pierwszy raz „Dziennik Polski“. Było to w styczniu 1945 r. Z jaką radością oglądaliśmy te gazety, ani słowa w niej o niemiecku. Prawdziwa polska gazeta. Jakże miło było czytać ją tym bardziej, że głosiła sukcesy Armii Polskiej i Radzieckiej. Faszyzm niemiecki kona, a połączone armie biorą odwet za doznane krzywdy. W kraju następuje powoli stabilizacja, odprężają się nerwy napięte do ostatniego dnia, a w sercu chłopów wlewa się radość niepomnierna, że mogą narzecz spokojnie pracować dla siebie i swego kraju, a nie dla okupanta, nie wleć dziwnego, że wyrzynano sobie z rąk gazety, każdy chciał mieć „Dziennik“, by naocznie sprawdzić jak wróg bierze łupanie.

Na drugi tydzień przyniósł Franciszek trzykrotnie więcej gazet, bo w zesła niedzielę brakło mu, a mimo to odbiorców było jeszcze więcej i gazet brakło, a wszyscy chcieli kupić i wydzierając sobie targali gazetę i kłócieli się zawzięcie nawet o podarte kawałki.

Po każdej takiej sprzedaży gazet Franciszek ledwo nogami powlęczył taki był zmordowany, wreszcie wpadł na genialny pomysł. By uniknąć zmiadżenia (nie tu nie przesadzajmy) zbudował sobie z cienkich żerdzek, dytki i blachy okazały kłosek przenośny i przyniósł go pewnej niedzieli ku kościolowi. Teraz siedział w nim wygodnie i podawał przez okienko gazety, a ludzie „prasowali się“ około kłosa nie szkodząc „Macietce“. Kim jest ob. Franciszek Ślusarczyk? Dawny parobek wiejski i pastuch, który przed wojną poniewierzał się po służbach u bogaczy. Dziś Franuś jest popularną postacią we wsi, stał się częścią składową niedzielnego dnia. Każdy go lubi i nikt się z niego nie śmieje, zyskał sobie ogólny szacunek. Gdy czasem spóźni się z gazetami to ludzie czekający wychodzą daleko patrzeć czy nie nadechodzi ze swoim kłosem. Chłopi nie mogą sobie wyobrazić jakby się można obejść bez niego i gazet, które przynosi, bo nie tylko „Dziennik Polski“ ale i „Echo Krakowskie“, „Trybuna Robotnicza“, „Zielony Sztandar“, „Rolnika Polakiego“, „Przyjaciółka“,

„Przekrój“, „Gromada“, „Trybuna Ludu“, wreszcie „Więść“. Ma w swoim kłosku każdego pisma 15 — 80 egzemplarzy i ludzie to rozkupia. Można śmiało powiedzieć, bo to jest prawda, że Franciszek jest człowiekiem zasłużonym w rozpowszechnieniu oświaty i pracy w naszej okolicy. Przed wojną, przeważnie bogackie prawnierowali kilka zaledwie pism, dła niemal wszystkie domy we wsi mają gazety, a to datego, że gazety są tanie i najblędniejszemu dostępne. Narazie czytają w niedzielę, ale nadejdzie czas, że chłop w dzień czytać będą gazety.

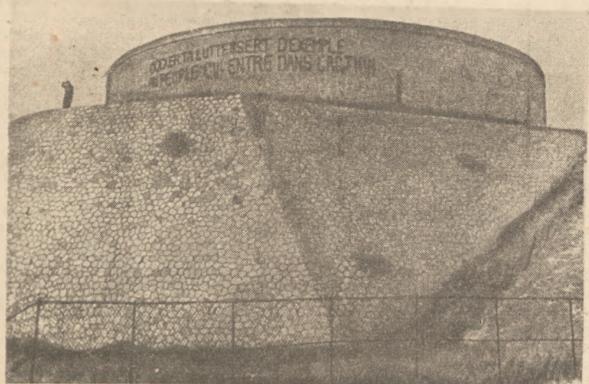
Jest wielu takich kolporterów, jak Franciszek, którzy dostarczają na wieś gazety robotnicze i chłopskie, gazety z których dowiadujemy się o rozwoju i przemianach w naszej Polsce Ludowej, o budowie nowego na sprawiedliwosci opartego ustroju socjalistycznego. Dobrze by było, by redakcje pism w jakikolwiek sposób wynagrodziły ob. Ślusarczyka za jego pracę, za te sobotnie wędrowki do Krakowa 28 kilometrów pieszo, bo na jazdę nie stać go, gdyż jest naprawdę biedny i często nie doje, ma już 50 lat i swoją niezmordowaną pracę kolporteracką zastąpił sobie na to by o nim pamiętać.

Franciszek zdaje sobie sprawę, że jego sposób kolporterowania pism nie rozwija sprawy upowszechnienia czytelnictwa, że jest działaniem i ustąpił zorganizowanej prenumeracie. Już teraz zresztą poczta przynosi coraz więcej gazet na wieś. Rozmawiamy często na temat konieczności stworzenia stałego kłosa gazotowego i książkowego w gminie. Dlaczego spółdzielnia Samopomocy obok artykułów gospodarczych nie sprzedaje także książek i gazet? Oczywiście jest to problem, który przed spółdzielniami już dawno stawiano, nie należy lekceważyć sprawy, bo to też jeden z odcinków walki klasowej. Jeśli jednak wspominać o starym kolporterze pism to nie datego, aby żegnać z leką odchodzące czasy, przeciwnie, by zaszkalować że są ludzie, nawet starzy pracownicy, których porwała nurt dziesięciolecia życia i którzy mogą zasilić kadry pracowników kultury w nowej ludowej Polsce.

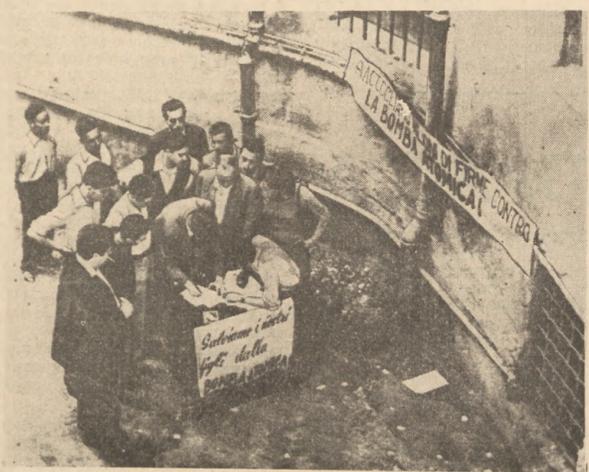
Józef Fłek

Gustaw Tomala

# Klasa robotnicza świata walczy o pokój



Gigantyczny napis w porcie marsylskim „Dokerzy wasza walka jest przykładem dla wszystkich tych, którzy walczą o pokój”.



Podpisywano Apelu Sztokholmskiego we Włoszech. Napis na transparentie: „Bronimy nasze dzieci przed bombą atomową”.



Londyńska demonstracja antywojenna. Przemawia dziekan Canterbury Hawlett Johnson.



Walka robotników portowych w Marsylii z policją po wrzuceniu do morza wyrzutni V2, przygotowanej na wysłanie do Viet-Namu.



Młodzież włoska wypisywała w dniu 1 maja na murach miast włoskich hasła antywojenne (napis na murze: „Nie — wojnie”).

KAZIMIERZ URBAŃSKI

## O WOJNIE IMPERJALISTYCZNEJ I SPRAWIEDLIWEJ

Naukowe rozwiązanie zagadnienia wojny przez Marksa i Engelsa pozwala wyzbyć się długowiecznych przesądów i dotrzeć do źródeł wywołujących wojnę. Przyczyny wojny tkwią w warunkach ekonomicznych życia społeczeństwa, a klucza do tych zagadnień szukać trzeba w stosunkach produkcji.

Jednym z zasadniczych pytań, które należało by rostrzygnąć na wstępie rozważań o pokoju i wojnie, to kwestia czy wojny istniały wечно. Dążeniem idealistycznych teorii jest wytworzenie powszechnego przekonania, że wojny mają charakter zjawisk „twartych”, „niezmiennych”, „nieodwracalnych”, „wiecznych”. Twierdzenia te są wytwarzane przez kapitalistyczny aparat naukowy i przez znanych wodzirejów politycznego życia burżuazji. Zjawisko wojny towarzyszy klasowym formacjom społeczno-ekonomicznym, stawiającym koniunkturalne cele, jak zdobycie taniego robotnika, stworzenie perspektywy dla handlu czy zdobycie rynków zbytu. Palenisko wojny obejmujące płomieniami społeczeństwa formacji klasowych, wygasa ostatecznie z chwilą zdeptania zarzewia, jakim jest wyzysk człowieka przez człowieka. W ZSRR nie ma strukturalnych przyczyn wojen, nie ma antagonizmów klas, nie ma ucisku narodowościowego, nie ma wreszcie konfliktów między narodami. Państwo Radzieckie wstępuje do wojny wyłącznie w celach obronnych, tylko wówczas gdy zostaje napadnięte, zbrojnie zaatakowane, słowem, gdy staje się przedmiotem agresji. Celem ZSRR jest budownictwo socjalistyczne, zwrocenie bacznej uwagi na gospodarcze, organizacyjne i kulturalno-wychowawcze funkcje państwa. Cele te mogą być realizowane tylko w pokoju.

Schyłkowy okres kapitalizmu pogłębia źródła wojen sprowadzając je do skali światowej. W latach 1871 — 1914 świat prowadził około 20 wojen, w latach 1914 — 1945 dwie wielkie wojny, nie licząc lokalnych. W historii WPK (b) czytamy, że „wojny powoduje nierównomiernie rozwijający się kapitalizm” a więc kryzysy kapitalistyczne, np. kryzys w 1914 r. spowodował 1-szą wojnę, identyczne zjawisko jest przyczyną wojny w 1939 r. Nierównomierność ta polega na tym, że kapitalizm rozwija się skokami, że państwa produkujące spadają i odwrotnie, mniej rozwinięte ekonomicznie wysuwają się na czoło prowadząc jednocześnie politykę zmierzającą do zapewnienia sobie odpowiedniego „miejsca pod słońcem”. Druga wojna światowa nie zlikwidowała nierównomierności, zmieniła jedynie układ sił, wysuwając na czoło zachłanne imperialistę — Stany Zjednoczone. Zaostreżenie przeciwieństw klasowych po drugiej wojnie światowej, zmiana cyklu gospodarki, pogłębienie kryzysu i odcieranie się o depresję — zmusza do skorzystania z jednego środka oddalającego zglądzie kapitalizmu — wzmożenia produkcji wojennej. Zjawiskiem tym towarzyszy reakcyjna polityka — w skali wewnętrznej — dławienie ruchów wolnościowych, na zewnątrz — marsz do wojny. Wojsko w świecie imperialistycznym, czego potwierdzeniem może być wypowiedź amerykańskiego gen. Fullera, z której wynika, że zależność rozwoju przemysłu od wojny jest większa aniżeli samej wojny od przemysłu.

Wojna wynika z walki klas i jeżeli państwo ma charakter klasowy burżuazyjny to i polityka odbija interesy tejże klasy panującej.

Charakter wojen po raz pierwszy wyjaśniony został naukowo przez marksizm - leninizm. Nie każda wojna jest zjawiskiem negatywnym. Aby ocenić wojnę jako sprawiedliwą bądź niesprawiedliwą, należy zadać pytanie, w jakim celu prowadzi się wojnę. Gdybyśmy zechcieli poddać historycznej analizie toczoną wojnę, to tym z nich moglibyśmy przyznać miano sprawiedliwych, które służyły wyzwoleniu mas ciemiężonych, tym, w których walczono o zniesienie ucisku, zerwanie z ciemnotą i zapewnienie zaspokojenia życiowych potrzeb człowieka. Wojnę sprawiedliwą toczył Związek Radziecki w czasie napadu faszyzmu niemieckiego. Na wiecu wyborców w lutym 1946 r. Stalin powiedział, że „druga wojna światowa tym się różni od pierwszej, że pierwsza była z obydwu stron niesprawiedliwa, podczas gdy druga była z jednej strony wojną sprawiedliwą”. Sprawiedliwa wojna domowa w Chinach

EUGENIA SZULC

### Nienawidzimy wojny

Kapitałiści, na czele z imperialistami amerykańskimi, starają się panicznie wszelkimi sposobami odwrócić swój upadek. Kapitalizm musi upaść, a wojna do której dąży może tylko przyspieszyć jego upadek. Masy zaś świadome dobrodziejstw, jakie daje socjalizm, chcą żyć w pokoju, chcą szerzyć oświatę i budować dobrobyt. Świadomość i kultura mas to największa potęga i siła niepokonana. Nic dziwnego, że kapitałiści tak mało dbają o oświatę, tak wyjątkowo wolno rozwijają szkolnictwo i zwalczają analfabetyzm. W Ameryce na oświatę przeznaczają się tylko 1 procent; w Polsce sanacyjnej np. zwalczanie analfabetyzmu w woj. lubelskim odbywało się w takim tempie, że to, co dokonała Polska Ludowa w trzech latach, tam osiągnęliby w r. 2040. Nienawidzimy tych, którzy chcą powrotu niesprawiedliwości i wyzysku, tych,

zmieniła oblicze świata, pół miliarda ludzi stało się niewyzerpaną bazą w walce o sprawiedliwość społeczną i pokój. O sprawiedliwym charakterze wojen świadczą cele, jakie proletariariat stawia przed sobą. Stalin mówiąc w październiku 1942 r. o Wielkiej Wojnie Związku Radzieckiego, wskazał trzy jej cele: 1) unicestwienie hitlerowskiego państwa i jego inspiratorów, 2) zniszczenie armii niemieckiej i jej dowództwa, 3) likwidację „nowego ładu Europy”. Nie ma tu ani słowa o zaborczości, cel jest prosty — cho-

STANISŁAW KRAKOWIAK

### Pokój trzeba wywalczyć

W dniu 1 września, w 11 rocznicę barbarzyńskiego napadu hitlerowskiego na Polskę rozpoczyna się w Warszawie obrady Pierwszego Polskiego Kongresu Pokoju. Weźmie w nim udział ponad 1000 delegatów reprezentujących miliony rzesze ludności pracującej miast i wsi. Cała Polska uczestniczyć będzie w tym Kongresie.

Wiele spodziewają się po Kongresie Pokojowym świadomi chłopcy, którzy dla uczczenia tego ważnego wydarzenia podejmują Czynny Kongresowe. Im bliżej do dnia otwarcia obrad, tym więcej zobowiązań. Wiś polska żyje duchem Kongresu.

A nie tak dawno przed kampanią zbierania podpisów pod Apellem Sztokholmskim pokutował na naszych wsiach bałamutny pogląd, że sprawa pokoju czy wojny zależna jest bezpośrednio od Pana Boga lub pośrednio od Rządu. Zwykli śmiecielnicy — mówiono — nie nie zdziałają. Tyle pomogą nasze życzenia, co umarłemu kadziło. Ta suplikacyjna postawa chłopów polskiego, ta niewiara we własne siły mogące przeszkodzić wojnie trwała do Apelu Sztokholmskiego. Akcja zbierania podpisów pod Apellem stała się poważnym wyłomem w tradycyjnym myśleniu chłopskim. Nie pomogły kułackie podszepty i zastraszenia, na nic nie zdała się agitacja świadków Jehowy i opozycyjna postawa części kleru — wieś za wsią podpisała deklarowała swoją przynależność do wielkiego obozu pokoju. Sam widziałem jak „Trójka Pokoju” w mojej gromadzie była serdecznie przyjmowana przez wszystkich gospodarzy. Ob. Stefkówna, przewodnicząca tej „trójki” zawsze wspomina te chwile i stwierdza, że ta funkcja była dla niej najpiękniejszym przeżyciem.

Słyszałem jak pytali się chłopcy czy te podpisy pomogą? Czy mają one siłę zatrzymywania podpalaczy świata w drodze do nowej wojny? Nie wszystkie „Trójki Pokoju” dawały dobrą i właściwą odpowiedź. Nie wszystkie były jeszcze na należytych poziomach. Ale te pytania stawiane „Trójkom Pokoju” w Łazanowie, Rokicinach, Będkowie i po wszystkich wsiach jak Polska długa i szeroka świadczyły, że akcja pokojowa głęboko ruszyła masy chłopskie, zainteresowała je i pociągnęła.

Chłopi nie wierzyli, że podpisy same przez się pomogą, że zleknią się ich imperialiści. Sądzili, że coś więcej musi stać za podpisem — sam człowiek, jego praca, czynny udział w budownictwie wsi i miast Polski Ludowej. I mieli rację. Toć przecież same podpisy miałyby formę nowoczesnego „odżegnywania” wojny, gdyby za nimi nie stali żywi ludzie, uświadamiający się w nowej roli obrońców pokoju.

Pytał mnie kiedyś jeden ze starszych gospodarzy: „Co ja mogę zrobić dla pokoju? Przecież apel podpisałem, pokoju sobie życzę, dla swoich dzieci, dla całej Polski i świata. Ale co ja mogę dać więcej na podpis dla pokoju?”

Tłumaczyłem mu, że aby być dobrym obrońcą pokoju trzeba jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki w społeczeństwie. Wydajniejsza praca na roli, udział w kontrakcyjnej trzody chlewnej, zboża, zwalczanie szkodliwych ogólnych podatków — regularne płacenie podatków — oto cegiełki utrwalające pokój. Miliony takich obywateli wzmacniają siły gospo-

dzi o to, aby zniki faszyzm, aby wyzwolono ludy Europy. Sprawiedliwej wojnie ludy Korei towarzyszy sympatia mas pracujących wszystkich zakątków kuli ziemskiej. Czynną postawą akceptują to stanowisko dokerzy Francji, marynarze Australii, górnicy angielscy. I to jest droga walki o pokój.

Świadomość tej walki, wciągnięcie wszystkich sił w skoordynowaną akcję przeciwko wojnie zagwarantuje zwycięstwo sił Pokoju.

Kazimierz Urbański.

Mirosław Skuba

### Walka o pokój to wzmożona produkcja

Akcja socjalna w krajach demokracji ludowej jest jedną z form walki o pokój, ponieważ otacza opieką klasę robotniczą i szerokie masy ludu pracującego, kadry produkcyjne, brygady współzawodniczą pracy, a więc tych wszystkich, którzy najbardziej zainteresowani są w pokojowej produkcji.

Jednym z głównych zadań Akcji Socjalnej jest troska o wychowanie nowego obywatela, który świadomie będzie kroczył do socjalizmu, nie ulegając wrogim podszeptom imperialistów anglo - amerykańskich. Nie ma w Polsce obecnie zakładu pracy, w którymby pracownik nie był otoczony opieką Akcji Socjalnej. Żłobki, przedszkola, wczasy, sanatoria, świetlice — oto na co przeznacza się w krajach demokracji ludowej produkt dodatkowy, który w państwach kapitalistycznych służy fabrykantom i obszarnikom. Akcja Socjalna podnosi nie tylko byt materialny pracownika, ale stwarza jak najlepsze warunki pracy, przez co przyczynia się do wzrostu produkcji. Każda tona wydobytego węgla, każdy metr tkaniny wyprodukowanej przez robotnika, to podniesienie dobrobytu w naszym kraju. Wzorujemy się na Związku Radzieckim, który prowadzi pokojową politykę, a każdy obywatel tego potężnego państwa odpowiada amerykańskimi podżegaczom do wojny podniesieniem produkcji i wydajnością pracy.

Klasa pracująca w krajach kapitalistycznych walczy o te zdobycze, jakie myśmy zdobyli dzięki Związkowi Radzieckiemu po II-giej wojnie światowej. Walcząc — wspomagając światowy front pokoju, na którego czele stoi ZSRR. Nie amerykańska broń, lecz maszyny produkujące towary w celu zaspokojenia potrzeb ludzkich decydują o gwarancji pokoju na całym świecie.

Mirosław Skuba  
Z.Z.P.Ch. „Ew” Wytównia Nr 7  
Mąkolno

Stanisław Krakowiak

### Wszyscy do szeregów bojowników pokoju

A. F. Kirlo-Nowaczyk

### Korespondent walczy o pokój

Walka o pokój stała się dzisiaj udziałem wszystkich ludzi dobrej woli bez względu na kolor skóry, wyznanie, pochodzenie i wykonywaną w życiu pracę. Zmobilizowała i zespoliła ona wysłek robotnika, małego i średniolobnego chłopca, inteligenta pracującego, pisarza i artysty.

Świadczą o tym niezliczone fakty podawane przez radio i prasę codzienną, świadczą o tym wymownie kongresy pokojowe odbywające się w miastach wojewódzkich i powiatowych, oraz gromadach.

W tej walce nie może zabraknąć nikogo, komu spokojnie, wypełnione pokojową pracą jutro leży na sercu. Doniosłą rolę mają tu do spełnienia pisarze terenowi — korespondenci pism robotniczych i chłopskich wyłonieni z pośród mas i działający w terenie dla mas.

Udział pisarza terenowego w walce o pokój stał się szczególnie ważny i zaszczytny. Zasięg działalności pisarza terenowego jest szeroki, a jego bezpośredni kontakt ze środowiskiem daje pełną gwarancję, że zadaniu swemu sprosta on w zupełności. Czujność, wnikliwa obserwacja terenu, żywa łączność z masami, wykorzystanie każdej nadającej się do szerzenia hasel pokojowych okazji — oto niezawodne drogi wiążące do celu.

Masy wykuwające w trudzie lepszą przyszłość dla swoich dzieci i wnuków wojny nie pragną. Myśli i marzy o wojnie darmozjad, spekulant tużący się na pracy drugich, wrog socjalistycznego ustroju. Doświadczenia ubiegłych lat wojennych wykazały dobitnie, gdzie tkwią źródła masowych mordów, usankcjonowanych jakby na ironię pseudomoralności dyktatorów, śledzących z uwagą linie frontów nie z bronią w ręku, lecz z komunikatów sztabów wojennych. Pola walk nie nasiąkają krwią rekinów finansowych i zamaskowanych strategów, ale krwią robotnika i chłopca.

Taki stan rzeczy spowodował rozłam ludzkości na obrońców wojny i jej przeciwników — obrońców pokoju, z tą różnicą, że garści sfanatyzowanych polityków i multimilionerów, przeciwstawiła się przytłaczająca większość ludzkości, ta, co nie zarabia na rozlewie krwi, lecz traci.

Miejsce pisarza terenowego jest po stronie obrońców pokoju, a uświadamianie szerokiej mas o tym,

Mirosław Skuba  
Z.Z.P.Ch. „Ew” Wytównia Nr 7  
Mąkolno

### W poprzednim numerze

W numerze „Wsi” 34 (265) z dnia 27.VIII.1950 r.

- Kazimierz Kąkol — Bohaterowie naszych czasów. Bolesław Kuźnicki — Udział Rad Narodowych w pianowaniu. Marian Jaworski — Walka o plan rozgrywa się w gromadzie. Jan Koprowski — Zapowiedz. Józef Bieniek — Drabina dobrobytu i kultury. Stanisław Herman — Plan 6-letni nie zapomni! o powiecie Limanowskim. Józef Andrzej Frąsk — Pieśń o Nowej Hucie. Kazimierz Bartyzel — Wiś moja ma też swój plan 6-letni. Stanisław Krakowiak — Chłopi gminy Łazanów o planie 6-letnim. Jan Łazarz — W walce o świetlicę. Kazimierz Brzuszek — Świetlica i partia. Stanisław Gębala — Nasza świetlica. Bronisław Goralk — O ruchu „świeńców” na wsi Śląskiej. Marian Sienny — Droga przez walkę. W. Andrukiewicz — Naprawimy świetlicę. Sławomir Kubalski — Żniwa. Sławomir Rogowski — 1 dzień w wsi. Jacek Trzaniel — Paschale. Krystyna Leńkowska — Prosta droga. Marian N. Listowski — Wiersze fiolokjonisty. Andrzej Skupień — Florek — Słowo o „Mickiewicz”. Mieczysław Jastruna. Marian Wilczyński — „Do powszechnej riśmiennosci”. Seweryn Skulski — Po kursach dla analfabetyt. Stanisław Krakowiak — Po szgaminie. Andrzej Wera — Jeszcze lepiej gospodarzyć... Tadeusz Ostrowski — W walce o zdrowie wsi. Maria Sawicka — Chemy walczyć. Józef Fierek — W Zakliczynie nie ma świetlicy. Józef Kowalczyk — Korespondent i jego pismo. Rysunki i zdjęcia;

Przygotowując wydanie poezji i listów JERZEGO LIEBERTA, prosimy wszystkich, którzy by posiadali jakiegokolwiek materiały (drukowane i rękopiśmienne) odnoszące się do twórczości i listów Jerzego Lieberta o skomunikowanie się z nami.

Institut Wydawniczy „Paz”  
Warszawa, Mokotowska 43.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL  
Redaguje Komitet.  
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starwkiwicza Nr 7  
Prenumerata i Kółportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. wewnątrz 23 i 97  
Tel. Red. Nacz. 721-66. Tel. Redakcji 131-80.  
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAW. - OSW. C Z Y T E L N I K  
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKUPISÓW NIE ZWRACA.  
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.  
Warunki prenumeraty:  
miesięcznie 100—zł.; kwartalnie 300—zł.; półrocznie 600—zł.; rocznie 960—zł.  
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem za tvg „Wiś”  
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wvd.-Osw. „Czytelnik” Marszałkowska 3/5 B-126401

Eugenia Szulc  
CZPE w Świdnicy